



J. Dąbrowski.

BIBLIOTEKA
TECH. SZK. LOTN. 1011

Nr. ~~105~~

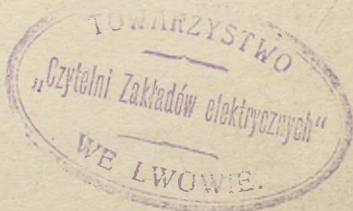
Katastrofa Kaliska.

OPOWIEŚĆ NAOCZNEGO ŚWIADKA.

BIBLIOTEKA
TECH. SZK. LOTN.

Nr. 56.

*Państwu A. i K. Krzyżanowskiem—
na pamiątkę chwil wspólnie przeży-
tych i w dowód wdzięczności za ser-
deczną ich staropolską gościnność.*

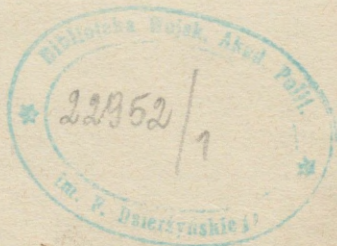


WARSZAWA 1914.

Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i S-ki.

93(438)77

Дозволено Военной Цензурой,
Варшава, 12 Сентября 1914 г.



Drukarnia Naukowa, Warszawa, Mazowiecka 8.



I.

Kalisz — wolnem miastem. Wkroczenie Prusaków.

Jak gdyby przez zrządzenie dziwacznej a złośliwej ironji pierwszy dzień olbrzymiej wojny najpotężniejszych państw europejskich—Niedziela 2-go sierpnia—rozpoczął się najcudowniejszym, jak tylko sobie można wyobrazić, porankiem.

Słońce przygrzewało cudownie i świat cały ochoczo uśmiechał się do zastrachanych ludzisków, co wylegli przed chałupy, patrząc w osłupieniu na to, co się naokoło nich działo, gdy o godzinie 6-ej rano wybrałem się do Kalisza. Czworowierszową przestrzeń, oddzielającą nasze lotnisko, na zapoczątkowanym „mieście-ogrodzie“ -- koło wsi Pólko — od Kalisza, zdecydowałem się przebyć pieszo, nie chcąc narazić koni na możliwą zupełnie rekwizycję.

Luźne, większe lub mniejsze oddziały wojska wciąż ciągnęły drogami na Sieradz, Turek i Konin, zbiegającemi się właśnie u stóp góry Tynieckiej.

Na szosie ludność trzyma się z godnością. Obok słupów telegraficznych stoją z siekierami stróże, postawieni dla ich pilnowania przed kilku dniami jeszcze... Nagle od strony Skarszewa sły chać tentent, pędzi na szkapie chłopina—do gminy — w Skarszewie dragoni spędzili pilnujących i druty psują o jeje — czy jemu za to co nie bę-

dzie, że pozwolił. Ale co on mógł zrobić z siekierą na tyłu żołdatów!

Wchodząc do Kalisza, spotykam bezładnie uciekających urzędników pocztowych, wyciągają nieomal truchtem; dalej cała kupa niższych funkcjonarjuszów wszystkich dykasterji „wyrывa“ ku Błaszkom i Sieradzowi. U wszystkich w oczach strach wręcz jakiś nieludzki—najfantastyczniejsze przypuszczenia, pogłoski, a przede wszystkim narzekania słyhać wśród tego tłumu. Dodać trzeba, że w zamieszaniu bardzo wielu nie otrzymało pensji; położenie ludzi rodzinnych jest wskutek tego okropne.

Powoli nadchodzą wieści z nad granicy. O wkroczeniu Niemców nie słyhać nic.

W mieście tłumy ludzi przepelniały ulice. Dziwne podniecenie jakiegoś widocznym było na twarzach wszystkich. Rozprawiano namiętnie, oczekiwano wieści o wkroczeniu Prusaków bez strachu, z jakąś ciekawością. Przed gmachem Rządu gubernjalnego obok zepsutego samochodu, pozostawionego na los szczęścia, zebrali się urzędnicy, którym dopiero teraz miano pensję wypłacić.

Cerkiew otwarta robiła wrażenie obrabowanej. Poczta straszny i zarazem przykry a śmieszny przedstawiała widok. Krzesła i stoły powywracane, wszędzie nieład, a na podłodze—stosy listów, gazet i posyłek wszelkiego rodzaju. Polecone, niepolecone, karty, gazety — leżą stosem, z którego ciekawi lub zainteresowani wybierają co się żywnie podoba: listy do siebie lub znajomych, karty z ładnymi malowidłami, ilustracje i t. d.

Idąc dalej, natykam się na pierwszy, bardzo nieładny objaw wolności — rozbijają sklep monopolowy. Kilku andrusów w worku dźwiga butelki z monopolką, a garść, wobec głosów zachęty zgromadzonego tłumu, rozbija sam sklep... Na

szczęście, jak się później okazało, był to jedyny wypadek rabunku w mieście... Bezwzględnie natomiast i na większą skalę rabowano magazyny kolejowe — obok dworca wręcz szedł handel zrabowanymi przedmiotami i wymieniano inteligentów, co tak „okazyjnie“ kupowali od rabusiów różne rzeczy...

W Ratuszu tymczasem — prezydent zwołał zgromadzenie obywateli, t. j. właściwie wszystkich, kogo można było spotkać. Zebrany odczytana została depesza, w której było doniesienie o wypowiedzeniu wojny Rosji przez Niemcy wczoraj o 6-ej wieczorem i władza nad miastem przelana została na prezydenta. Zawiadomiwszy o powyższym, prezydent zapytał zebranych, czy zgadzają się na jego władzę do czasu przybycia prusaków, poczem po uzyskaniu jednogłośnej zgody obecnych zaprosił do pomocy sobie, znanego w mieście finansistę i rejenta Młynarskiego, oraz szereg obywateli do Komitetu doradczego. Obok policji, z której kilkudziesięciu stójkowych i rewirowych z komisarzem 2-go cyrkułu, Kostienko, pozostało w mieście oraz straży ogniowej, co już zajęła posterunki w mieście, uchwalono stworzyć milicję obywatelską z Komitetem Bezpieczeństwa na czele, w skład którego weszli: naczelnik straży ogniowej Mrowiński, kapitan wioślarski Motylewski oraz przedsiębiorca budowlany Kical.

W końcu wezwano do pracy uchwalone w dniu wczorajszym komisje.

Natychmiast zaczęto organizować milicję, dając jej na lewym rękawie przepaski niebieskie, opatrzone pieczęciami magistratu.

W ciągu godziny patrole straży ogniowej i milicji ruszyły na miasto. Część udała się na dworzec gasić dogorywające szczątki i zmusić do zaprzestania rabunku, inni zajęli pocztę, silniejsze oddziały udały się na rogatki i przedmieścia.

Kalisz stał się chwilowo wolnym miastem.

O prusakach przychodzą wieści — widziano w stronie Żydowa samolot, co nad okolicą krążył, a podobno do prezydenta przybył jakiś pozostawiony na los szczęścia kolejarz, co widział ich na własne oczy w Noskowie. Kolejarz ów staje się postacią mityczną. Po zajęciu Noskowa prusacy wysłali go do Kalisza, ażeby zawiadomił mieszkańców, iż wojsko wejdzie aż koło godziny 6-ej wieczorem — we 24 godziny po wypowiedzeniu wojny — wcześniej nie może, że wojacy są nieco podnieceni, niech więc kobiety i dzieci nie wychodzą, tłumy niech się nie zbierają na ulicach, a zresztą — prusacy nic nikomu nie chcą robić.

Mitycznego kolejarza-zwiastuna nikt na własne oczy nie widział, cała historia i przyniesione przezeń wieści wydają się dowcipnym fortem któregoś ze sprytniejszych, a dbałych o porządek obywateli. Mimo to jednak cała ta historia wywiera ogromne wrażenie. Patrole milicji wnet ze zdwojoną energią nakazały zamykać okna i bramy i rozpraszać gromadzące się tłumy, co jednak było pracą syzyfową w zupełności. Ciekawość ujrzenia choćby „nieco podnieconych“ prusaków przemaga. Główny też Rynek i długa, przechodząca następnie w szosę skalmierzycką, ulica Wrocławska w części zostaje przepełniona tłumami, wśród których przeważają Żydzi. Okna na całej przestrzeni ugarnirowane głowami, ciekawie spoglądającymi w stronę Wrocławskiej.

Jedynym zaś konkretnym objawem obecności prusaków w pobliżu są telefony. Co chwila na stacji dzwonek, a następnie głos:

„Panna—sprechen sie deutsch?“.

Niezrażony chłodnym: „z kim łączysz?“ głos ciągnie dalej:

„Panna, my z Barączka mówimy“
lub też:

„Panna! wie viel Russen in Kalisch?“
czy też dla różnaitości:

„Panna! jest kawa i piwo w Kaliszu?” i t. d.

Jak się zaś później okazało, poza kompanją piechoty i kilkunastu ułanami w Skalmierzycach, z pomiędzy których to właśnie rekrutowali się owi telefonowi flirciarze—więcej wojska w pobliżu nie było, i tylko pojedyncze patrole ułańskie i piesze lub na rowerach przemykały się chyłkiem szosą lub plantem kolei ku Kaliszowi.

W Ratuszu tymczasem wrzała robotą; masami podpisywano pod kierunkiem dyr. Banku Handlowego bony, uchwalone na zebraniu obywatelskim dnia poprzedniego, które natychmiast wydawano oczekującym na dole tłumom. Poznoszono i zabezpieczono jako tako pocztę, wykończano organizowanie milicji—na godzinę 3-ą zwołano posiedzenie komisji dla obmyślenia zaprowiantowania masy rodzin bezrobotnych i rezerwistów.

Okolica tymczasem, nic nie wiedząca o stanie rzeczy w Kaliszu, a wciąż pozostająca pod wpływem wrażeń nocy ubiegłej trwała w trwodze i niepokoju. Z miasta — w dodatku — szły tam wieści o rabunkach, pożarach, przez pierwszych uciekinierów biurokratycznych przyniesione, stąd też telefony dzwoniły bez ustanku. Uspakajania tą drogą przesyłane, nie wiele mogły zdziałać,—zaczął się popłoch, na gwałt pakowano manatki na wozy. Z własnej też inicjatywy kilku lepszych piechurów, a znanych bardziej w mieście, rusza na wieś dla uspokojenia, co udaje się z wielką łatwością. Chłopi, nie wyłączając sołtysów, bez wahania uznają prawowitość władzy, czuwającej nad porządkiem, milicji.

Po wsiach, przylegających do szos poblizkich, momentalnie powstaje swojska milicja, której kadry tworzą, pilnujący przed tem telegrafu, stójkowi, ludzie rozchodzą się powoli na obiad i w ciągu pół godziny podniecony i trwożliwy nastrój, mówiąc nawiasem, chwilowo zwiększony

przez ogólny powrót letników, wywołany możliwością odcięcia miasta kordonem—znika.

Okropny natomiast widok przedstawiał dworzec kolejowy z przyległymi zabudowaniami. Dogaszający pożar magazynów wypełnił dymem i zapachem spalenizny powietrze dokoła na wiorstowej bodaj przestrzeni.

Z dworca też można było zobaczyć zbliżających się pierwszych prusaków. Między resztkami zrujnowanych wagonów, plantem od strony Skalmierzyc ostrożnie, bacznie oglądając się na wszystkie strony, zmierzało kilka szarych postaci, w których nietrudno było domyślić się żołnierzy z podoficerem, spoglądającym wciąż przez lornetkę. Bliżej nieco na szosie skalmierzycyckiej jechało noga za nogą pięciu ułanów, również z zachowaniem wszelkich ostrożności.

Do miasta ułani zbliżyli się koło godziny 2-ej. Od patrolu oddzieliło się dwóch jeźdźców, którzy wyciągniętym kłusem ruszyli ulicą. Koło szpitala pozostał jeden z nich, a drugi, wypuściwszy konia galopem, blady jak trup, pędem przebiegł ulicę Wrocławską, Główny Rynek, wpadł w Warszawską i zawróciwszy konia przed cukiernią „Schaub i Kozłowski“, wolniej już ruszył z powrotem do oczekującego nań przy szpitalu towarzysza. Galopującemu jeźdźcowi towarzyszyły okrzyki tłumów: „wiwajt“! „Lebe hoch“, to znowu „Bydło“! milczeć“! to znów „Czołem“! a wśród tej dysharmonii najsprzeczniejszych uczuć względem siebie, biedny zdobywca, konwulsyjnie ściskając lancę i cugle, rwał z kopyta. Gdy podjeżdżał już z powrotem do szpitala, snąc wytężone i z trudnością skupione siły opuściły go. Koń szarpnięty mundsztukiem potknął się, lanca wypadła, kalecząc lekko konia w szyję i sam ułan, ciężko dysząc, omal nie zwałił się na ziemię. Podtrzymał go jednak towarzysz i kilku stojących w tym właśnie punkcie miasta na posterunku strażaków. Do ko-

nia wnet podeszło kilku żydków, wyrażając kondolencję głaskaniem. Wreszcie — pierwszy po 108 latach prusak w Kaliszu, strachem i nerwowością, zrozumiała zresztą, wykazujący, że nie zbyt odczuwa ważność swojej roli historycznej, galopem odjeżdża ku swoim, do których tymczasem dołączyło się jeszcze kilku z jakimś gołowąsem szpicakiem lejtnantem. Po chwili cały tak wzmógłny patrol podjechał do dawnej rogatki i dowodzący nim oficer, prosił grzecznie napotkanego fabrykanta Meisnera, żeby udał się do prezydenta miasta i wezwał go dla rozmowy.

W parę minut odbyła się nieco teatralna i całkiem bodaj niepotrzebna scena kapitulacji miasta. Prezydent Bukowiński w towarzystwie obywateli Scholtza i Deutschmana, najbardziej widocznie „błahonadziejnych“ w danej chwili, posadziwszy na kozioł dorożki strażaka z białą chorągwią, udał się na rogatkę dla wręczenia „kluczy miasta“.

Czy oczekiwał tego lejtnant, dowodzący ułanami, trudno przesądzać, faktycznie jednak był całą tą ceremonją mocno zażenowany i zdumiony. Przyjąwszy „klucze“ i poróżmawiawszy chwilę przez tłumacza z Bukowińskim, zawrócił z kilku ułanami, wysławszy resztę na drugi koniec miasta, na szosę turecką. Patrol też, przejechawszy stępa lub też na przemiany lekkim kłusem wśród okrzyków, całą niemal długość Kalisza, ruszył ku Pólku i Skarszewowi.

W jakieś pół godziny po ułanach ukazało się w mieście kilku piechurów pruskich na rowerach. Niemniejsze owacje i tych spotkały, tymbardziej, że nieomal wszyscy byli polakami. Okrzyki „Czołem!“ z ich strony, które całkowicie pokryły kilku „Mouen!“ (Morgen!) wznieciły wręcz entuzjazm. Okazało się, że wszyscy są landwerzystami, wczoraj dopiero powołanymi pod broń, a pochodzą z Ostrzeszowskiego. Siedząc na rowerach, całkowicie szarzy, z karabinami zarzuconymi na

plecy, robili oni wrażenie raczej sportowców i myśliwców, niż żołnierzy. Przybyło ich w bardzo krótkim czasie do 30, a obejrzawszy miasto w rozmaitych kierunkach i założywszy (zdaje się) aparat telegrafu iskrowego na Tyńcu, niemal wszyscy zebrali się w Rynku w popularnym barze Maśła, gdzie wespół ze strażakami, odgrywającymi rolę gospodarzy, raczyli się piwem. Rozmowa szła wyłącznie po polsku niemal, nawet żołnierze niemcy naginali swój język.

Połączenie ze światem zewnętrznym, Kalisz tymczasem miał zupełnie wolne. Telefony, nawet podmiejskie, dziwnym zbiegiem okoliczności pozostawiono nienaruszone tak, że do godziny 4-ej po południu można było rozmawiać swobodnie z Sieradzem, Zduńską Wolą, nawet Łodzią, gdzie jednak właśnie o tej godzinie zaprzestano odbierać telefon. Ze znajomym w Zduńskiej Woli skomunikowałem się telefonicznie jeszcze o 6 i pół, a Sieradz, skąd wciąż zasypywano Kalisz zapytaniami przeróżnemi, rozmawiał z Kaliszem jeszcze koło 7 i pół wieczorem.

O 7-ej wieczorem w sali i na podwórzu Ratusza „komendant“ Motylewski rozpoczął organizowanie straży nocnej z Milicji Obywatelskiej i oddziałów Straży Ogniowej. Szło to bardzo szybko i sprawnie, tak, że o 8-ej wszystkie punkty miasta były już obsadzone. Silniejsze oddziały umieszczono na przedmieściach, wysuniętych najdalej, w urzędach i na dworcu kolejowym, gdzie można było obawiać się wznowienia rabunków. Inteligencką wartę z osobników, umiejących dobrze po niemiecku, wysunięto na szosie Skalmierzyckiej w stronę Szczypiorna. Zadaniem tej warty było spotkać prusaków i odprowadzić ich do wskazanych przez nich punktów miasta.

Miasto tymczasem trwało wciąż w oczekiwaniu. Na ulicach panował nastrój świąteczny. W zwykłych punktach spaceru kaliszian: Parku,

na Al. Józefiny, Głównym Rynku, a także wzdłuż całej ulicy Wrocławskiej i Warszawskiej do późnej nocy snuły się tłumy nieprzejrzane, prowadząc ożywione rozmowy. Gwar i śmiechy rozlegały się po całym mieście, które zdawało się przyszło do siebie po kilkudniowej panice, wywołanej ucieczką Rosjan, wywiezieniem Banku Państwa z depozytami, wkładami, pieniędzmi kas chorych robotniczych, kaucjami i t. d., runem na prywatne stowarzyszenia pożyczkowo-oszczędnościowe i wreszcie okropnym zamieszaniem i wrzuszeniem nocy ubiegłej. Pierwsi Prusacy wzbudzali zaufanie zarówno swoim zachowaniem się, jak i znanymi Kaliszanom z wycieczek zagranicą sprawnością i zamiłowaniem porządku.

Dobrze już po 12-ej, kiedy znaczna część Kalisza spała już snem sprawiedliwego, warta milicji, zajmująca stanowisko na szosie Skalmierzyckiej, usłyszała odgłos kroków miarowych.

Była to kompanja 155 pułku piechoty, konsystującego w Ostrowiu. Dowodzący nią kapitan zażądał od milicjantów przewodnika, który też wzięty między żołnierzy, pod opieką podoficera, postępującego z tyłu z mauzerem gotowym do strzału, mimowoli musiał pełnić rolę „guide'a” i doprowadzić Prusaków do Ratusza.

Przed ratuszem kapitan zażądał widzenia się z prezydentem, któremu zapowiedział przybycie wkrótce sił głównych. Dla tych miało być przygotowane locum: obszerne pomieszczenia dla 800 żołnierzy, pokoje dla 20 oficerów i lokal z 3 pokojów dla komendy. Poczem zaciągnięto wartę w ratuszu, na poczcie i telefonach, skąd natychmiast ściągnięto warty milicji. Zostali milicjanci jedynie na stacji telefonów w charakterze izolatora między żołnierzami i telefonistkami.

Dobrze już po 12 i pół znów prowadzone przez mimowolnych „guide'ów”, idących pod rewolwerami, przybył bataljon piechoty, z tak osła-

wionym później majorem Preuskerem na czele.

Przed Ratuszem odbyła się charakterystyczna rozmowa majora z prezydentem.

„Obejmuję miasto w imieniu J. C. M. Cesarza Niemiec. Za spokój i porządek odpowiada Pan głową. Jakie panowie macie pomieszczenie dla wojska“? „Koszary — rzucił krótko Bukowiński — a dla komendy i oficerów zarezerwowano lokale w hotelu Europejskim“.

„Proszę pokazać koszary“.

W wyborze locum Preusker okazał się bardzo wybrednym i nieufnym.

„Für Schweine — rzucił lakonicznie, — a czy Pan ręczysz, że nie są one podminowane“?

„Ręczyć nie mogę, może tylko przed panami wejść do nich oddział straży ogniowej wraz ze mną“ — odpowiedział prezydent.

Mimo taką gwarancję — prusacy nie zajęli koszar, żądając gmachów z dużemi salami. Zajęte zostały przez nich gmachy Tow. Muzycznego, Stowarzyszenia Rzemieślników Chrześcijańskich, maneż wojskowy na Rypinkowskiej i dom Pułaskiego przy zbiegu szos: Łódzkiej, Konińskiej i Tureckiej. Rozległy jednak kompleks koszarowy na Nowym Świecie zarezerwowano dla ułanów i artylerji, których przybycie zapowiedział Preusker.

Na zapytanie, czy ma pozostać milicja obywatelska, major odrzekł:

„Do rana przyjmuję usługi panów z wdzięcznością. Potem ja sam będę myślał o porządku i rozstawię swoje patrole“.

W jaki zaś sposób prezydent odpowiadać miał „głową“ za porządek, którego miał pilnować major, o tem zdobywca Kalisza nie pomyślał.

Już koło 4-ej rano, gdy wracały ostatnie warty milicyjne z dworca, zastąpione tam przez pru-

saków, nadciągnęły kartaczownice, konwojowane przez pół szwadronu ułanów.

„Czołem panowie“! powitał po polsku jadący na przodzie oficer, salutując stojących na trotuarze milicjantów i strażników.

„Czołem“!—odkrzyknięto ochoczo.

A pokraczne, mające coś żmijowatego i zarazem żabiego w swej postaci, kartaczownice długim sznurem ciągnęły ku miastu... Konie rażno parskały wśród ciszy sierpniowego poranka...

„Po 108 latach prusacy wracali do Kalisza...”

II.

Pierwsze kroki prusaków. Zamieszanie w Ratuszu i Komendzie. Idylla, zakończona katastrofą. Czyja wina?

Śmiało można zapewnić, że nie było kaliszczyna, któryby, obudziwszy się w poniedziałek 3-go sierpnia, nie wybiegł na ulicę, bądź dla zasięgnięcia języka, bądź też choćby dla obejrzenia prusaków. Zaimponowały wszystkim spokój i sprawność, z jakim zajęte zostało miasto, nastrój zaś, począwszy od dnia wczorajszego, był względem nich zupełnie przychylny.

Rządy swoje pozatem gospodarni prusacy rozpoczęli od... zaboru kasy miejskiej oczywiście. Już o godz. 9-ej w Ratuszu przystąpiono do tej

sympatycznej czynności, którą załatwił jakiś doktor wojskowy. Pozostawiwszy 1600 rb. na pokrycie bonów, resztę gotówki w sumie 29 przeszło tysięcy rb. opieczętowano. Następnie major Preusker, wezwawszy urzędników magistratu, oświadczył im, że wszyscy pozostają na swych stanowiskach i mają pełnić swe obowiązki sumiennie i ze zdwojoną wobec ciężkich czasów gorliwością, przedewszystkiem zaś—dać wojsku śniadanie. Dalszym czynnościom majora przeszkodziło wezwanie do drukarni „Kaliszanina“, gdzie wynikła awantura.

Na skutek jakiejś denuncjacji, że w drukarni tej (NB. mieszczącej się na parterze gmachu Tow. Rzem. Chrześcijańskich, gdzie obozowało wojsko)—znajduje się telegraf iskrowy — wpadli żołnierze, wytarłosili zecerów i zaczęli badać motory, dopiero nadbiegły major ukrócił podwładnych, dając ostrą burę oficerowi.

Wszystko to razem stało się w ciągu jakiejś godziny, a było zawiele na prezydenta, człowieka chorego, nerwowego w najwyższym stopniu, a w dodatku niedawno dotkniętego katastrofą rodzinną.

Przechodząc obok rynku z posłem Parczewskim i adwokatem Kożuchowskim, nagle ujrzałem prezydenta mocno podnieconego, wołającego nas z dorożki. „Wojsko się burzy, trzeba mu dać jeść co prędej, może stać się wielkie nieszczęście. Idźcie panowie do sklepów i nakazujcie przysyłać kawę, cukier i pieczywo do magistratu,—mleko z Ziemiańskiej już wzięte“.

Okazało się, że z pobliskich sklepów już potrzebne produkty posłano, a źle tylko, że magistrat nie chciał wydawać kwitów.

Poza temi incydentami wszystko w mieście układało się jaknajlepiej. Wojsko, w którym, jak się okazało, była ogromna ilość polaków landwe-rzystów z okolic Ostrowa, bratało się z publicz-

nością. Przyjacielskie rozmowy żołnierzy z mieszczanami na ulicach były na porządku dziennym. W cukierni Meyera kilku podoficerów rubasznie bawiło publiczność dowcipami na temat bezkrwawego zdobycia tak wielkiego miasta. „To szwinstwo, żeby nam nie dali ani raz wystrzelić do nieprzyjaciela“, twierdzi jakiś dobrze odżywiany feldfebel. „Jak taka wojna dalej będzie, to niewesoło“. Na mostku Tynieckim w parku, gdzie zebrało się sporo żołnierzy wolnych od służby, odbywa się kompletny miting. Na ulicach oglądanie prusaków przybiera formy nieprzyzwoite. Z wielką uwagą badają grubość sukna mundurów, guziki, oglądają buty—coś—jak mały w ogrodzie zoologicznym. Zaczynamy podziwiać cierpliwość prusaków. Choć zdarzają się epizody wręcz przeciwne — na ul. Browarnej do sklepu wpada złodziej, chwytając coś z kontuaru i ucieka. Na krzyk właścicielki leci tłum, a tuż znalazł się patrol pruski. Okrzyk—Halt! złodziej pędzi dalej, pada strzał, nikt na szczęście nie ranny. Złodzieja złapano. „Będzie za godzinę rozstrzelany!“—oświadcza podoficer dowodzący patroliem.

Koło 12-tej zjawia się na rogach ulic proklamacja majora Preuskera, komendanta Kalisza. Nowa władza w trzech językach ogłasza miastu, że przechodzi pod zarząd wojskowych władz pruskich, wszyscy broń mają wydać prusakom, nad porządkiem ma czuwać policja rosyjska pod zwierzchnictwem władzy wojskowej, zarząd wewnętrzny miasta oddany w ręce urzędników magistratu. Poza tem szły bardzo niejasne i ogólnikowe przepisy, które na ogół, nie uczyniły żadnego wrażenia.

Dodać należy, że Preusker przyjął jeszcze rano redaktorów obu gazet miejscowych, z którymi rozmawiał bardzo łaskawie, prosząc o wpływanie na publiczność dla jej uspokojenia i przeprasząc

za „konieczną“ na wojnie cenzurę przewencyjną gazet.

Nie przewidując nic w mieście, postanowiliśmy udać się po nowości do Skalmierzyc. Wraz też z dyrektorem Gazowni p. B. i dyrektorem Banku Handlowego p. D. jedziemy do komendanta po pozwolenie. Okazuje się, że komendant wyjechał do Skalmierzyc. Wspaniale. Jedziemy po pozwolenie do Skalmierzyc. Furman nakłada na rękaw szeroką czerwoną przepaskę z widocznym stemplem: „Verwaltung der Gasanstalt in Kalisch“ i ruszamy z kopyta. Za miastem posterunki. „Halt!“ „Wohin?“ — „Zurück!“ Tłumaczymy, że absolutnie niemożliwe jest „Zurück“, jedziemy bowiem do komendanta, który jest w Skalmierzycach. „Prosić oficera!“ kończymy. Wszystko to jakoś podziało na prusaków. Puszczają, aby o jakieś ćwierć kilometra nowy dialog nas spotkał. Tym razem i my jesteśmy lakoniczni.

„Halt! Pass!“

Siedząc z miną grandów, wymownie wyciągamy wskazujące palce ku czerwonej przepasce na rękę furmana. Prusak ogląda. Niemiecki napis widocznie zapada mu w duszę. Robi jednak z urzędu wymowną „Zweifel Mine“.

„Nun??“

„Jak nie puście, miasto zostanie bez gazu. W tej sprawie jedziemy do komendanta“.

„Ahaa! Weiter!“

Grzecznie salutuje — wydostajemy się wreszcie za linję placówek.

W połowie drogi spotykamy wojsko — szwadron ułanów eskortuje kuchnie polowe, furgony z amunicją i kilka dział. Za nimi w pewnej odległości mija nas mały wojskowy samochódzik, w nim jakiś generał z p. Preuskerem. Oczywiście już nie fatygujemy pana komendanta naszą prośbą o pozwolenie i dojeżdżamy do Szczypiorna.

Po otwarciu granicy całe mnóstwo podróż-

nych rzuciło się przez roгатkę. Widzimy też całą grupę jadących lub idących z pakunkami zapóźnionych podróżnych albo obieźysasów. Mijają nas kaliskie dorożki, omnibusy nawet, puszczane przez komendę pruską na dworzec skalmierzycki. Wśród tego wszystkiego przejeżdżamy roгатkę graniczną obok gmachu komory, skąd przez okna wyglądają pruscy żołnierze, — no i... jesteśmy w Poznaniu...

Halt!

O, do licha—czyżby nowa pikietta. Na szczęście nie—podąża ku nam urzędnik celny.

„Haben sie etwas zu verzollen“?

Wybuchamy śmiechem. Wokoło wre wojna—granica od 36 godzin unicestwiona — wojska niemieckie posunęły się o kilkanaście kilometrów w głąb kraju — a dla tego pocziwca to wszystko nie istnieje. On na swoje „Zoll“ uważa...

Wreszcie i służbista-celnik śmiać się zaczyna, puszczając nas cało i zdrowo. Wpadamy wreszcie na pocztę, gdzie wysyłamy depesze i karty.. Zachodzą pewne wątpliwości. „Pan do Częstochowy? przyjąć nie mogę! To nie u nas“.

„Ależ panie, Częstochowa już zajęta“.

„Tak, ale przez austryaków“...

Łaskawszym jest dla depeszy do Londynu.

„Przyjmuję, ale ostrzegam, że może nie dojść“.

„Czyżby?“...

„Tak—wojna jeżeli już nie wybuchła, to lada chwila będzie. A no, niech pan ryzykuje!“

Ryzykuję... no i pędzimy na dworzec, rzucając się na gazety.

Więści chaotyczne. Jaurès zamordowany. Norymbergę bombardowali lotnicy francuscy. Kozacy w Prusach Wschodnich. Ejdkony zajęte przez rosjan. Walki pod Miłostawiem, Hławą, Ełkiem... Krążownik „Augsburg“ pali Libawę... Mobilizacja

powszechna aż do pierwszych powołań landszturmu... Cesarz wyznaczył „Dzień modlitwy“ za pomyślność oręża.

Naogół ton minorowy. Śnać Niemcy nie nazbyt wojowniczo usposobieni. Co ważniejsza—inicjatywa przechodzi w ręce Rosjan. Cóż więc znaczy odwrót z Kalisza i popłoch ogólny? W początkach wojny obaj przeciwnicy wzajemnie boją się siebie.

Zaopatrzywszy się w najnowsze Tageblaty i Anzeigery, bez żadnych tym razem przeszkód powracamy do Kalisza, gdzie stajemy już dobrze wieczorem.

Miasto wciąż w nastroju świątecznym. Na ulicach tłumy ludzi spacerujących i rozprawiających z ożywieniem. Aleja Józefiny przepelniona—park również. Spotykam redaktora Przybylskiego, komunikuję mu nowości, wzamian dowiaduję się, że komendant, niezwykle przyzwoity człowiek, wydadaje glejty na swobodne wychodzenie z miasta, gazetom obiecał dostarczać informacji, a prosi tylko o wpływanie na publiczność, żeby nie dokuczala żołnierzom gapiostwem. „Te tłumy ciągle przed mojem mieszkaniem są wręcz nieznośne“ — zakończył.

Po ulicach, w cukierniach i barach pełno żołnierzy i podoficerów. Ogromna część z nich—Polacy. Rozmawiają chętnie i są bardzo wylani. Wśród Niemców sporo socjal-demokratów, piorunujących na wojnę. „To zbrodnia przeciw ludzkości—ta wojna—peroruje jakiś Prusak w cywilu, jak się okazuje zecer z Ostrzeszowa—myśmy jej nie chcieli i nie chcemy — barbarzyńska Rosja pchała do wojny—musi też za nią dobrze zapłacić“.

Co do widoków wojny—różnią się—nie znac jednak ani zapału, ani wiary w zwycięstwo. „Z Rosją damy sobie radę: jej nieporządek ją obali. Z Francją będzie o wiele ciężiej“... Tu będziemy maszerowali—weźmiemy „Lodz“, Warszawę i pod

„Brest-Litowsk“ wspólnie z austryakami wygramy walną bitwę“.

O—panowie — słyhać znów — wy szczęśliwi, dziękujcie Bogu że dziś i jutro nie jesteście w Kownie, albo pod Kownem. Tam dopiero uciecha! Tam kamień na kamieniu „mit Mann und Maus“ djabli wezmą.

W tak pokojowym nastroju, pełen idyllicznych stosunków ze zdobywcami, zasypiał z wolna Kalisz...

...Gdyśmy siadali do herbaty wieczornej, nagle weszła poruszona nieco służąca.

„Proszę państwa, mówili ludzie w sklepie, że dziś w nocy kozaki napadną na Kalisz i Niemców wyrzną, czy nam się aby co nie dostanie“?

Oczywiście uspakajamy ją zapewnieniem, że nic podobnego stać się nie może, a jednak bodaj czy nie było tam zapowiedzi katastrofy, która czekała miasto tej nocy.

Było już koło jedenastej. Aleja i Rynek były pełne jeszcze spacerowiczów, gdy nagle, siedząc przy biurku, usłyszałem pojedynczy wystrzał rewolwerowy. Strzelono — zdawało się — bądź w Rynku, bądź też na której z ciasnych przyległych ulic. Tknięty jakimś niewytłumaczonym przeczuciem, poszedłem do żony przygotowującej się do spoczynku i ostrzegłem, że dano sygnał alarmowy, żeby więc nie bała się, gdy Niemcy zaczną manewrować ulicami...

Po jakichś dziesięciu minutach, które upływały od owego pojedynczego wystrzału, nagle krzyk jakiś przeraźliwy i tupot nóg rozległ się w Alei Józefiny, jeszcze wypełnionej spacerującymi. Biegł oddziałek Prusaków z kilkunastu żołnierzy złożony od strony parku ku Wrocławskiej, krzycząc na publiczność, aby szła do domów. Wszczął się popłoch i w ciągu kilku minut Aleja opustoszała niemal zupełnie. Nagle od strony Wrocławskiej grzechot karabinowego ognia rozległ się wśród ciszy,

a tuż potem ze wszystkich stron rozległy się salwy... Stojąc w oknie mieszkania, widzę coś dziwnego. Oddziałek, co niedawno spędził publiczność, spotkał się z innym większym. Przystanęli. Słychać rozmowę urywaną... nerwową... Pojedyncze wyrazy nie dadzą się ułożyć w zdania... Wreszcie oba połączone oddziały rozsypują się w tyralierkę przez całą szerokość ulicy i zaczynają biec w stronę parku... Salwy tymczasem grzmiały za salwami, a w monotonię strzałów karabinowych wrzyna się trzask kartacznicy... W Alei słychać metaliczny świst kul. Wkrótce widzę tyralierów pruskich, powracających z parku w nieładzie. Po chwili znów wracają, teraz już strzelając w biegu. Widzę wyraźnie, że dzieje się z nimi coś niesłychanego: rzucają się wtył i wprzód zamknięci Aleją... strzelają naoslep. Strzelanina z karabinów i kartacznicy trwa koło dwudziestu minut, poczem milknie. Słychać tylko kroki zapóźnionych przechodniów, biegnących teraz co tchu do domu. W jakiejś pół godziny nowe salwy karabinowe i znów jakiejś parę minut grają karabiny... Wreszcie cichnie wszystko...

Wczesnym rankiem dopiero sprawa stanęła wyraźnie. Porozrzucane trupy w Rynku, na Wrocławskiej, Warszawskiej i w kilku innych ulicach pozwoliły zorientować się co do rozmiarów katastrofy choćby tylko w ogólnych zarysach. Po mieście krążą patrole z groźną miną. Koło hotelu Europejskiego kordony nie przepuszczają nikogo... Prerażenie i zdumienie niemal na wszystkich twarzach przechodniów...

Więści o nocnej strzelaninie najrozmaitsze. W redakcji „Kurjera Kaliskiego“ dowiaduję się, że redaktor był już rano u Preuskera, który przyjął go wściekły... „Hańba“! „Zbrodnia“! Strzelać do bezbronych żołnierzy w nocy z ukrycia! Myśmy do was przyszli jako przyjaciele, w zaufaniu, a wyście nam odpłacili nikczemną zdradą! Precz!

Zbrodnia! Z ukrycia strzelać do żołnierzy! — mówił rozwścieczony“.

Piszę naprędce na prośbę redakcji artykuł o charakterze odezwy uspokajającej treści, któremu nie sądzone było ujrzeć już światła dziennego, i śpieszę na miasto. Trupy jeszcze nie uprzątnięte. Na Głównym Rynku widzę zabitego konia, dwa trupy, zdaje się woźnych magistratu obok kolumnady Ratusza rzucone pod ścianę, stosy tobołków zgarnięte na kupę. W ulicy Wrocławskiej dom Rotha gęsto postrzelany kulami, toż samo rogowy dom Openhejma przy ul. Józefiny... Opowiadają o mnóstwie trupów obok szpitala. Śpieszę tam i widzę obok rogatki tłum otacza ośmnaście trupów, podziurawionych kulami jak sito. W różnych miejscowościach miasta po kilku. Widzę jak młody elektrotechnik Lebedziński organizuje na prędce zbieranie trupów. O rannych nie słychać, pochowali się widocznie. W szpitalu niewielu ich,—w domach? nie wiadomo. Natomiast w szpitalu idzie gwałtowna praca nad opatrywaniem żołnierzy. Lekarze miejscowi dopomagają wojskowemu, co wczoraj „przyjmował“ kasę miejską, a roboty moc. Koło 30 żołnierzy rannych i pokaleczonych znalazło pomieszczenia, przy rannych warta z minami srogimi.

Lekarze opatrują rannych nerwowo, z łatwo zrozumiałym niepokojem. Wyjmują jakiemuś żołnierzowi kulę na 2 cm. długa, stożkowata, oczywiście z karabinu... „O“, to „nasi“ mnie postrzelili, rzuca żołnierz. Kilku innych ma rany identyczne, kule jednak przeszły na wylot. Nad znaną kulą zaczyna się dyskusja. Żołnierze poznają w niej pruską, lekarz jednak energicznie zaprzecza. „Podobna do naszej? ale to z karabina rosyjskiego, napewno“! energicznie rzuca przytem znaczące spojrzenie na żołnierzy. Jeden z felczerów z cicha kulę usuwa i chowa. Rany żołnierze odnieśli niewiadomo gdzie, wśród strzelaniny, oczywiście od

swoich. Zaledwie jedna z ran postrzałowych wydaje się mocno podejrzana.

„Szliśmy szybko na alarm — powiada młody żołnierz polak, gdy nagle skądś strzelono, my dalej uciekać, a oto tamten, pokazuje na leżącego opodal kamrata, złapał się za nogę i przysiadł. Przewróciliśmy się, zrobiła się kupa, wszyscy na mnie, potem wzięliśmy jego.“

Wskazany przez opowiadającego żołnierz miał ranę zadaną widocznie kulą rewolwerową w udo, jak stwierdził Dr. K.

Rannych wkrótce zabierają ze szpitala... Zabitych żołnierzy było kilku, trupy jednak zostały jeszcze w nocy uprzątnięte.

Powoli zaczyna być możliwe odtworzenie obrazu całej katastrofy.

Buchalter gazowni M. po 10-ej wieczorem wracał powozem z dworca kolei, mija koło 20-tu żołnierzy podnieconych, śpieszą niemal w popłochu. Dwóch żołnierzy wskakuje na stopnie powozu. „Proszę nas podwieźć do miasta, nieprzyjacieli się zbliża! będzie alarm!“ „Ale skąd“? — pyta p. M., nie może być! Z tej strony? z Niemiec“?

„Panie, jak jesteśmy we dwudziestu, tak wszyscyśmy widzieli kolumnę, a jest kilku, co bliżej podeszli do niej, mowę rosyjską słyszeli. Jedź pan, na miłość boską prędko“!

Jak się okazało, owa „kolumna“ byli to „artielszczycy“ ze Szczypiorna. Pozostawieni tam na los szczęścia nie mając co jeść, ruszyli w głąb kraju. Chcąc w nocy obejść Kalisz, zajęty przez prusaków, szli polem.

Przed miastem jadący z p. M. żołnierze spotkali oficera. Zeskoczyli z powozu i zameldowali mu widocznie o owej kolumnie. Oficer natychmiast siadł w dorożkę i popędził co koń wyskoczy do miasta.

Ten to właśnie oficer dał strzał rewolwerowy na alarm, który słyszałem, siedząc przy biurku,

u siebie. Widzieli to na własne oczy adwokat W., Dr. K., właściciel przedsiębiorstwa „Hygiena“, który, odprowadziwszy do domu mecenasa Z., szli zwolna ulicą, oraz niezależnie od nich, właściciel warsztatu ślusarskiego K. Wszyscy oni zgodnie opowiadają, że oficer pruski, stojąc w pędzącej na Wrocławską co sił dorożce, strzelił w górę z rewolweru...

Wiść o zbliżających się rosjanach spadła jak grom na raczących się wesoło kolacją, zakrapianą obficie szampanem, w towarzystwie okolicznych bon-viveurów Ch., D., B. i paru innych, w Hotelu Europejskim oficerów pruskich.

Zamieszanie wśród nich powstało ogromne. Zbiegł z numeru komendant, cywilów oczywiście wyproszono. Nie przyjęto nawet przybyłych z przekładem odezwy do mieszkańców pp. M. i Sch. „Komendantowi teraz nie odezwy w głowie“ — rzucił im adjutant.

Zamieszanie wzmogło się jeszcze bardziej, gdy na rowerze wpadł zziąjany i wystraszony żołnierz z pikiet na szosie Łódzkiej z doniesieniem, że od Opatówka idzie nowa kolumna rosjan.

Prusaków ogarnia panika. Pozostawiając przy komendanturze kilkunastu ułanów z rewolwerami i rozkazem „strzelania w łeb“ każdemu, co się zbliży do hotelu, oraz umieściwszy w tymże celu piechurów w oknach, oficerowie w dorożkach, a Preusker konno, momentalnie ruszyli galopem do swych oddziałów.

Owi rosjanie, idący od Opatówka, byli to zapasowi, których porzucono w Łasku, a którzy, nic nie wiedząc o zajęciu Kalisza, szli kąpać, śpiewając pieśni żołnierskie. Wśród strzelaniny padło ich kilkunastu, kilkudziesięciu po uprzednim zamaltretowaniu w Rynku przed Ratuszem, zamknięto w więzieniu.

Oszałeli widocznie ze strachu przed osaczeniem, prusacy rozpoczęli strzelaninę bezładną.

Ustawiwszy się u wylotów i na przecięciach ulic, prusacy strzelali bezładnymi salwami na wszystkie strony, widocznie pragnąc przestraszyć mniemanego nieprzyjaciela. Zamieszanie i przerażenie panowało wśród nich niesłychane! Inżynier G., leżąc na pochyłym brzegu kanału Proсны koło baru „a la Hawełka“, słyszał, jak tuż nad nim Preusker krzyczał głosem, pełnym irytacji do oficerów: „Na miłość Boską, czegoście panowie narobili!“ Salwy brzmiały za salwami bez komendy, bez żadnego porządku. Kule gwizdały na ulicach, raniąc przechodniów, co jeszcze nie zdołali ukryć się do bram i mieszkań, oraz żołnierzy, strzelających w innych miejscach.

Wśród tej strzelaniny, a nawet zdaje się na jej początku padły podobno strzały do wojska z domów.

Fakt tych strzałów nie zostanie na pewno nigdy stwierdzony. Zdaje się jednak, że miały one miejsce niestety. Z pomiędzy całej masy najrozmaitszych opowieści o nich, rzekomo naocznych świadków wiarogodne zupełnie są dwa. Jedno, to żołnierza, rannego kulą rewolwerową marnego kalibru w udo, które to opowiadanie przytoczyłem wyżej, a drugie dorożkarza Nr 68, nazwiskiem Żołędź, jeżeli dobrze je podał.

Dorożkarz ów przywiózł właśnie pasażerów z szosy tureckiej i wśród najgwałtowniejszego alarmu wpadł na Główny Rynek, nieomal wprost na prusaków. Ci momentalnie chwycili dorożkę i zaczęli rewidować jej wnętrze. W trakcie tego dorożkarz usłyszał strzał z okna pierwszego piętra jednego z domów. Jakiś żołnierz, trafiony kulą, pada, inni momentalnie sformowawszy dwie linie zabezpieczone z boków dorożką, której konie mocno trzymali przy pyskach żołnierze i murem kamienicy, rozpoczęli bezładną strzelaninę w okna kamienicy i w przestrzeń na obie strony. Po kilku minutach żołnierze, wzięwszy rannego towarzysza,

pobiegli w stronę Hotelu Europejskiego ku Marjańskiej...

O strzałach do żołnierzy oczywiście urosły całe legendy. Prasa niemiecka, tłumacząc owo zwierzęce zniszczenie miasta, wypisywała najprzeróżniejsze brednie o ukrytych kozakach, o dziesiątkach strzałów, jakie sypały grad kul na nieszczęsnych wojaków, ufających bezgranicznie szatanom-kaliszanom i t. d., słowem, z gwałtów własnych, spowodowanych jedynie bezmiernem tchórzostwem i brakiem orientacji dowódców, zrobili jakąś straszną noc Ś-go Bartłomieja...

Jedno zaś można stwierdzić, bez względu na to, czy strzały były, lub nie; katastrofę nie one wywołały. Prusacy strzelać zaczęli na wszystkie strony odrazu, a nawet ów strzał alarmowy, dany przez oficera, o którym mówiłem, poszedł na karb rzekomych spiskowców, czy kozaków. Cała kamienica, koło której padł ów strzał nieszczęsny, była ostrzelana aż do wysokości drugiego piętra kulami.

W Ratuszu podobno straszne działy się rzeczy. Prezydenta zbito kolbami i w bieliźnie tylko wywleczono na ulicę, dwóch woźnych za niedość pośpieszne otwarcie drzwi dobijającym się prusakom, rozstrzelano na miejscu. Straszna katastrofa również stała się we młynie Deutschmana, którą określę według opowiadania jednej z ofiar, nocnego stróża, ocalonego od śmierci zaprawdę cudownym nieomal sposobem.

Właściciel młyna wyjednał u Preuskera pozwolenie na posiadanie rewolwerów przez nocnego stróża i trzech robotników, którzy stale nocowali w fabryce. Zarazem p. D. zapowiedział stróżowi, ażeby na pierwsze wezwanie w niemieckim języku wygłoszone bezzwłocznie otwierał bramę.

Stróż, usłyszawszy podczas strzelaniny dobijanie się i niemiecką rozmowę bramę otworzył, sam zaś, bojąc się strzałów, szybko powrócił do

budki. Nagle wpada kilku prusaków z krzykiem, rzucają się na niego i na trzech nadbiegłych z rewolwerami robotników, nocujących w zabudowaniach. Rewidują ich, a znalazłszy rewolwery i dojrawszy na piersiach stróża wiszącą gwizdawkę, podnoszą wrzask i zaczynają nieboraka szarpać. W końcu wszystkich czterech wloką na Dóbrzecką, stawiają pod mur: „Ręce do góry“! Przed nimi staje szereg prusaków z karabinami gotowemi do strzału.

„Trzymam ja ręce do góry—a jakem pomyślał że już, żony i dzieci nie obaczę, tom płakać zaczął. Widzę, a tu niemcowi przedemną strzelba się w rękach trzęsie, też płacze. Raptem huk straszny się rozległ. Coś mnie palnęło w gębę i głowę, coś w rękę, lecę na ziemię, koło mnie wszyscy trzej, co ze mną byli. Ręka boli okrutnie—na jedno oko całkiem nie widzę, drugim jeno patrzę, aż tu mnie niemiec sztykiem w zadek dźga — ja tu już udaję martwego... Odeszli. Ktoś za mną grzebał mi na plecach, grzebał, ja nic, bom się bał strasznie, żeby miemce nie wrócili. Potem i on grzebać przestał. A miemce wracali, raz poraz kogoś koło nas stawiali i zabijali — ja wtedy tylko oko zamykałem... mozem to i omdlał raz i drugi nie wiem... Rano dopiero — patrzę, niemców niema — jedzie ksiądz Majewski w komży z Panem Bogiem widać. Podnoszę ja się i o poratowanie wołam“...

Przywieziony do szpitala przez ks. M. ów stróż, pomimo poważnej rany twarzy, strzaskania kości ramieniowej i kłutej rany bagnetem, został uratowany.

Dodać trzeba, że w miejscu, gdzie leżał uratowany ów stróż, walało się kilkunastu rozstrzelanych w ciągu nocy i ranka przechodniów. Za co? Zdaje się na to odpowiedzi nigdy nie będzie.

Niema, podobno, tak tragicznej w życiu sytuacji, żeby ludzi dobry humor opuścił zupełnie.

Opowiadają też i wesołe, raczej wzbudzające wesołość, wypadki.

Oto np. dziesiątki spacerowiczów podczas salw dosłownie „rynsztokiem“ wracało do domu, przepelzając spore przestrzenie. Między innymi z Parku do domu na ul. Warszawską przebyła taką drogę para narzeczonych. W Alei Józefiny trzech spacerowiczów uciekło na drzewa i przesiedziało tam do rana. Na bohatera w opowiadaniach urasta znany i powszechnie w Kaliszu lubiany „karbonarjusz“—właściciel składu węgla Z. Wracał on z inżynierem G., dyrektorem telefonów, oraz kuzynem swoim Z. do domu, gdy niespodzianie oddział pruski, stojący w poprzek ulicy zaczął dawać bezładne salwy i to w ich stronę. Idący rzucili się na ziemię, dopelzli do jednej z odnóg Proсны i ciemnymi brzegami na czworakach przedostali się na ul. Wrocławską do mostu tuż przy barze „a la Hawełka“. Dalsza droga okazała się niemożliwa. Ulicę wciąż przebiegły patrole i całe oddziały. Salwy szły za salwami, że jak opowiada Z., wszystkie pluskwy mogłyby na całej ulicy wyginać od kul; ani myśleć o opuszczeniu stanowiska. Nagle, korzystając z chwili, kiedy prusacy byli daleko, „karbonarjusz“ ku zgrozie towarzyszy zapala papierosa. Włosy stanęły dębem u obecnych. „Ignaś, Ignaś, jeżeli nie dbasz o mnie, to pamiętaj, że ja mam dzieci“!—błaga inż. G.—zgaś papierosa“! „Zgaś, bo ci łeb rozwalę“ szekspirowskim szeptem popiera błaganie kuzyn. „Ależ zaraz, zaraz, przecie to, a to, jakby prusak miał zobaczyć, to już zobaczył, a nie strzela“—odpowiada Z. i „galopem“ pociąga papierosa, którego mu wreszcie wydarto. Przeszło chwil parę, obrażony Z. milczy—przechodzi czas jakiś, cisza, można już wyjść. Wstają G. i Z. „karbonarjusz“ ani drgnie. Okazuje się, że zostawszy „bez dogmatu“ po odebraniu mu papierosa, zasnął z nudów jak kamień.

Obecnie widzę, jak „karbonarjusz“ zajął się

zbieraniem trupów i z prawdziwym poświęceniem to spełnia...

Ofiar tej strasznej nocy było koło czterdziestu w dużej części z pomiędzy powracających tłumem rezerwistów.

Opodal cmentarzy, gdzie rozstrzeliwano dla widzimi się jakiegoś żołdaka, leżało pod murem kilkanaście ciał przeważnie robotników, śpieszących widocznie rano do roboty w mieście, wielu konwulsyjnie w palcach ścisnęło bańki ze śniadaniem... Trupy przeważnie były zeszpecone straszliwie kulami.

Z pomiędzy prusaków trupem padło kilku, a koło trzydziestu zostało rannych, z tych nieomal wszyscy kulami karabinowymi przez swoich. Nie wiem, czy kiedykolwiek możliwym będzie ustalenie z czyjej winy wynikła ta straszliwa katastrofa. W pierwszej chwili odrazu stanęła na myśli wszystkich prowokacja pruska. Według mego zdania, wyklucza ją jednak samo zachowanie się prusaków, które też i wyjaśnia poniekąd genezę wypadków nocnych.

Trudno sobie wyobrazić ich strach i przerażenie a również i nieład, wskutek tego wynikły wśród wojska. Sama liczba postrzelonych pruskiemi kulami prusaków (trzydziestu kilku, trzydziestu rannych opatrzylu w szpitalu Św. Trójcy lekarze Dreszer, Sikorski, Koszutski, prócz wojskowych) jest wymowną ilustracją popłochu, co wyklucza wszelkie przygotowania. Wogóle osławiona pruska dyscyplina i sprawność okazały się mitem. Tchórzostwo wojska pruskiego w Kaliszu było w ciągu tej pamiętnej nocy wręcz bezprzykładne, a rozprężenie zupełne. Dość powiedzieć, że na skutek kilku luźnych strzałów, bataljon piechoty potrafił rzucać się po mieście i mordować wzajemnie, lub zabijać przygodnych mieszkańców w ciągu pół godziny bez mała!

Zresztą jaki cel miałyby prowokacja pruska?

Wywołać starcie z polakami dla zaszachowania polskiej polityki Austrii? To znów wykluczają odezwy do polaków, rozrzucane masowo, a przede wszystkim niestęchanie, jak widzieliśmy, łagodne i względne postępowanie prusaków po zajęciu Kalisza, jak również delikatność i względność patrolów na wsi.

Nie trzeba też być wielkim psychologiem, aby przyjść do przekonania, że jedyną bodaj przyczyną katastrofy kaliskiej było bezprzykładne rzeczywiście tchórzostwo i panika prusaków.

Strzały, dane do wojska wśród zamieszania i salw z jego strony, były zjawiskiem wtórnem. Dopiero też później — Preusker i prasa niemiecka dla usprawiedliwienia swej zwierzęcości — stworzyły całe opowieści o niebezpieczeństwie, na jakie byli narażeni prusacy w Kaliszu.

III.

Okrucieństwa prusaków. Wymarłe miasto. Odwrót i bombardowania. Iluminacja pogrzebowa. Początek ucieczki mieszkańców.

Jeżeli wypadki nocne obaliły w pojęciu naszym wszelkie legendy o wysokiem wyrobieniu wojskowem, odwadze i żelaznej dyscyplinie prusaków, to następny dzień był wyborną ilustracją owej, rzekomo wybitnej, kultury niemieckiej. Obok tchórzostwa bezmiernego, prusacy wykazali zewziewierzenie zupełne.

Sytuacja wydawała się — zapewne niezwykle groźną. Prusacy mogli mniemać, że miasto zrewoltowane; do żołnierzy strzelano... Prawa wojen-

ne są w tych razach nieubłagane—a odwet straszny. Lecz odwet pruski za rzecz, którą odrazu sami mogliby wyjaśnić, i w sytuacji, którą zrozumieć było im łatwo zupełnie, był czemś niewytłomaczonym, czemś sprzecznym i z pojęciami ludzkości i ze zdrową logiką.

Zbitemu prezydentowi oświadczono, że miasto zapłaci kontrybucję i kazano szukać finansistów. Następnie zaś rozpoczęto wybieranie zakładników. Przychodzą dwaj wikarjusze z zapytaniem, czy mogą mszę odprawić. „Gdzie wasz zwierzchnik“? Jeden z nich sprowadza dziekana—ks. Płoszaja, którego natychmiast aresztowano. Służbowy oficer pyta o dwu młodych księży: „A i ci będą dobrzy“! odpowiada Preusker, rozkazując aresztować obu wikarjuszów. Następnie posyłają po duchownych innych wyznań. Przyprawiono protojereja Siemionowskija, zamiast rabina Lipszyca, bawiącego na kuracji—dostał się w ręce prusaków Moses, podrabin, pastora ani kantora nie znalaziono, natomiast sprowadzono młodego fabrykanta Handtkego, którego zatrzymano w charakterze zakładnika wraz z dyrektorem Wzajemnego Kredytu Scholtzem.

W zamieszaniu i wśród strachu prusaków — trafem ocalał poseł Parczewski, który zgłosił się do komendanta jako przedstawiciel ludności dla wytłomaczenia nieporozumienia, inż. Kleyman i paru innych. Każdy bowiem interesant stawał się kandydatem na zakładnika. Wreszcie Preusker wpadł po rozum do głowy i zaaresztował wszystkich finansistów, którzy zgłaszali się w sprawie kontrybucji.

Ba, nawet podobno do zakładników dołączono urzędnika biura Wzajemnego Kredytu, p. J. G. który jadł z dyr. Scholtzem śniadanie w restauracji. Poza tem przywieziono w dorożce pod silną strażą: Henryka Frenkla, Maurycego Heymana — obywateli i bankiera Mamrotha—później znów do-

łączono do nich Zygm. Grossa. Preusker żądał kogoś „aus polnischen Bank“ ~~W~~ wskutek czyjejs wskazówki w domu już aresztowano świeżo przybyłego z zagranicy — prezesa Rady Wzajemnego Kredytu—Stanisława Bulewskiego. Wszystkich zakładników umieszczono w jednym numerze hotelu Europejskiego. 6 aresztowanych rano (3 księży, protojerej, podrabin i Handtke—Scholtz wciąż występował w roli tłumacza) miano zatrzymać jako zakładników spokoju miasta — finansistów zaś Preusker obiecał wypuścić natychmiast po złożeniu kontrybucji, której 50.000 rb. miało być wypłacone o godz. 5-ej po południu.

Tymczasem zaś Preusker wydał nową proklamację do mieszkańców niebawem wręcz treści: „Zdarzyły się w nocy wypadki strzelania do wojska, przeto wszystkie względy dla ludności ustają. Miasto płaci 50.000 rb. kontrybucji — w razie powtórzenia się strzałów, „co dziesiąty mieszkaniec zostanie rozstrzelany“. Gazety wydawać zabraniam, od godziny 8-ej wieczorem bramy winny być zamknięte i okna oświetlone“. Dalej szły znów ogólnikowe, nic nie mówiące przepisy, pomieszane jak groch z kapustą.

Jakie wrażenie wywarła ta nowa konstytucja, łatwo sobie wyobrazić; a wrażenie to było tem większe, że rozpuszczone po mieście patrole, już od godziny 10-tej rano, dopuszczały się niesłychanych nadużyć. Przechodniów brutalnie rewidowano, często bijąc kolbami; przy najmniejszej opozycji—stawiano pod mur i rozstrzeliwano na oczekaniu. Szczególniej wiele faktów rozstrzelania, lub wręcz zastrzelenia, zdarzyło się koło szpitala, gdzie jeszcze znajdowali się żołnierze ranni, a opodal na ulicy—leżało kilkanaście trupów zamordowanych przez żołdactwo w nocy osób. Z okien szpitala można było widzieć całe postępowanie rozjuszonych żołdaków. Rozstrzelano lub zastrzelono tam kilkunastu przechodniów, a postępowawa-

nie to było tak wstrząsające, że zdarzały się wypadki odmowy rozstrzelania ze strony żołnierzy, gdy rozbestwiony jakiś leutenant rozkazywał mordować. Jeden taki wypadek na własne oczy widział dr. Koszutski, na którego słowach opowiadanie to opieram.

W ciągu też półgodziny miasto opustoszało. Okolicznych włościan, przybyłych na targ wtorkowy, wojsko rozpędziło—sklepy zamykano na gwałt, mimo ożywionych obrotów po dwudniowym zastoj.

Pojedynczych przechodniów maltretowano w niesłychany sposób, a przy pierwszej próbie oporu—stawiano pod mur i rozstrzeliwano. W ten sposób — według obliczeń p. Z. zajmującego się zbieraniem trupów—zamordowano do dwudziestu osób. Sam on pogrzebał 16 rozstrzelanych. Czasem zaś—rozstrzelanie zastępowano wręcz zastrzeżeniem przez podoficera z rewolweru.

Piszący te słowa omal nie uległ temu również losowi.

Koło 1 w południe, chcąc zasięgnąć języka, wyszedłem z domu i skierowałem się na Główny Rynek. Plac był absolutnie pusty—minąłem warty—obrewidowany tylko przez jednego podejrzliwego ślązaka — a następnie, widząc niemożliwość dostania się do apteki, dokąd miałem wstąpić — powracam. Nagle słyhać znane mi dobrze:

„Halt“! Staję posłusznie. Patrol z trzech żołdaków zmierza ku mnie.

„Kommt“! — oczywiście podchodzę — dwóch żołnierzy po bokach — jeden przodem — prowadzi. Zimno mi się zrobiło, gdy zatrzymaliśmy się pod murem Ratusza—i ja znalazłem się tuż obok trzech ciał, leżących w kałuży krwi—a przed oczami, na słupie rusztowania zobaczyłem krwawo-szarą plamę—mózgu ze krwią zmieszanego. Dwaj żołdacy gimnastycznym krokiem cofają się i stają naprzeciwko—trzeci pozostaje przy mnie.

Obok mnie — leży rozkraczony, twarzą ku moim nogom wykręconą, ze strasznym jakimś wyrazem spokoju, znany mi, akcyźnik, Hoffman—obok niego—roznoszący awizacje woźny magistratu. Całą siłę woli zużywam na zapanowanie nad nerwami — przed oczami mglista wizja—drobny buziak córeczki—łobuzerska—wesoła myśl przelatuje przez głowę: „Likwidacja—reakcja chemiczna—żywoć wieczny—amen“.

Oto mniej więcej treść mojej psyche w owej chwili—po której rozpoczyna się dialog:

—„Hände hoch“! „Geben Sie die Waffen ab“! woła żołdak — niewiele myśląc zapewne o nielogiczności oddawania broni trzymanemi w gorze rękami.

„Nie jestem żołnierzem—z wami nie wojuję—jestem polak, a broni żadnej nie mam. Proszę sprawdzić“!—rzucam po niemiecku twardo, wszelkie wysiłki skierowując na to, ażeby zapanować nad sobą. Do wściekłości mnie doprowadza nagle — szkaplerz Częstochowskiej, wyglądający z za kołnierza munduru, stojącego naprzeciwko żołnierza.

„Rodak — ryngraf rycerza—żeby cię cholera—daktyloskopja“—lecą myśli, podczas gdy łapa prusaka błądzi po ubraniu, zostawiając na bieli kamizelki mojej ślad brudnego palucha.

„Gehen Sie weiter“! brzmi wreszcie głęboki bierbas, który mi się w tej chwili głosikiem anioła wydał—i ręka wyciąga się w kierunku wprost przeciwnym temu, dokąd zmierzałem.

„Ich will da gehen“—odpowiadam z dziwaczną przekorą—ukazując swój kierunek.

„Nuu—ja—gehen Sie zurück!“ brzmi „bierbas“ pokojowo, podczas gdy rodak ze szkaplerzem ziewa, jak hipopotam, a towarzysz jego, młody o latających oczkach niemczyk, do połowy długości palec ulokował w nosie.

Wstrząsnąłem się jednak ze zgrozy na drugi

dzień rano, gdy przechodząc koło Ratusza — na swoim niedoszłym miejscu ujrzałem leżącego jakiegoś biednie ubranego trupa z głową zupełnie rozniesioną; ledwie kawałki skóry z ciemnymi włosami trzymały się szyi; opodal zaś leżał jeszcze piąty trup — tęgi, niski mężczyzna — w mundurowej kurtce — mówiono — że był to kasjer z kasy gubernialnej — Sokołow — rozstrzelany z rozkazu Preuskera. Ja jednak twarzy już poznać nie mogłem.

Moi rozmówcy nie ze wszystkimi byli łaskawi...

Tymczasem zbliżała się piąta godzina. Pieniądze zostały wypłacone w całości. Wydostano je z kas banków i Towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych — zakładników jednak nie puszczono — owszem — dołączono do nich jeszcze prezydenta Bukowińskiego.

Zamkniętych biedaków Preusker wręcz torturował moralnie. Jak opowiadał jeden z nich — Handtke — przy każdej salwie wchodził do więźniów i oświadczał:

„To rozstrzeliwają waszych — i na was kolej przyjdzie“.

Wreszcie — koło godziny 5-ej po południu — ruch się wszczął między Niemcami. Zaczął się pośpieszny odwrót z miasta, przyczem uciekający Niemcy znów rozpoczęli rotowy ogień bezładny, a skierowany wzdłuż ulic do okien i do parku.

Zakładników uszykowano w dwójki, przyłączono do nich jakimś wypadkiem drugiego kasjera z kasy gubernialnej — Rudzkiego — popularnego w Kaliszu wioślarza — zwycięzcę na wielu regatach międzyklubowych — otoczono mocnym konwojem i powleczono za wojskiem w stronę Skalmierzyc.

Pochód ten — opowiada Handtke — był dla nas nową torturą. Popychani i bici kolbami przez żołnierzy konwoju — zakładnicy — przeważnie ludzie w podeszłym wieku i nietęgiego zdrowia — wlekli się z trudnością, nie wiedząc dokąd i poco ich

prowadzą. Dopełniał zaś grozy oficer, który z cynicznym uśmiezkiem wciąż zapowiadał:

„Gleich, gleich—noch einige Minuten“!

Chwile przychodziły okropne. Oto np. z zabudowań lazaretu straży pogranicznej, rozlega się trzask jakiś, podobny do strzału. Prusaków ogarnia panika. Zakładników zmuszają kolbami do rzucaenia się na ziemię — i rozpoczynają się salwy w stronę miasta.

Podczas tej właśnie drogi zamordowany został fabrykant i obywatel kaliski, Frenkiel. Okoliczności, towarzyszące tej tragedji, tak były mi rozmaicie przedstawiane przez świadków, że nie mogłem sobie odtworzyć obrazu. Zresztą o tem napewno będą inni pisać dokładnie. Śmierć taka była zbyt głośna—aby przejść bez echa. Na mnie osobiście straszne wrażenie zrobił trup miljonera, walający się przy drodze, opuszczony i rzucony na poniewierkę.

Dziwnie demokratyczna jest śmierć czasami.

Idą. „Marsz“! brzmi komenda i zakładnicy pchani kolbami wloką się dalej wstrząśnieni do ostateczności...

„Halt“! Więźniów wprowadzają na jakąś polankę. Oficer każe ze złowrogim uśmiechem ustawić ich w szeregu. Biedacy — oczywiście pewni rozstrzelania, gotują się na śmierć. Nie—po kilku minutach — rozlega się zbawcze—„weiter“! i znów pędzenie naprzód. Wreszcie wszystkich zamknięto w jakimś wiatraku, gdzie wielu, wyczerpanych ostatecznie, upadło niemal w omdleniu... W godzinę może po wyruszeniu zakładników z Kalisza—potężny huk zaczął raz po raz wstrząsać wiatrakiem: bombardowano Kalisz.

Mieszkańcy tego nie spodziewali się zupełnie. Po opłaceniu kontrybucji, aresztowaniu zakładników i wreszcie zupełnem opuszczeniu ulic i placów—zdawało by się — kwestja załatwiona została w zupełności. To też dopiero gęsto padające na

ulice i dachy domów szrapnele pruskie przy stałe powtarzającym się huku strażów działowych dały poznać niebezpieczeństwo i zmusiły lokatorów do przeniesienia się do piwnic i suterren. Mimo to już były ofiary. W Rynku szrapnel wpadł do mieszkania właściciela domu Batkowskiego—wczoraj dopiero przybyłego z kuracji. Batkowski padł trupem, żona zaś jego została ciężko ranna. Na Rypinku zabite zostało dziecko.

Szkody naogół bombardowanie przyczyniło niewielkie: w Rynku zostało kilka domów uszkodzonych, w Alei Józefiny — rozwalono wieżyczkę kamienicy Friedmana — gdzieś znowu rozwalono komin lub części dachu zerwano. Naogół dano 50—60 strażów, z których duża część nieszkodliwa była zupełnie, pociski bowiem pękały w parku, na łęgach okolicznych lub wreszcie na pustych ulicach. I tego jednak dość było, ażeby steroryzować ludność w zupełności. Wrażenie huku strażów działowych i świstu szrapneli na niespodziewających się niczego spokojnych ludzi, którzy w dodatku o czemś podobnem nie mieli pojęcia, było straszne. W moich oczach — człowiek czterdziestokilkoletni, rzemieślnik, został rażony połowicznym paraliżem—dwoje zaś dzieci wymiotowało żółcią... Nie prędko więc, mimo ustania strażów, ludzie wychodzili z kryjówek.

Straszny dla Kalisza ten dzień, który jednak jeszcze nie miał być najstraszniejszym, zakończył się wreszcie—czemś—będącym klasycznym przykładem iście szubienicznego humoru. Między godziną 8 a 9—zajaśniała w całym Kaliszu... iluminacja. Było to ściśle wykonanie rozporządzenia Preusker'a: „Od godziny 8-ej wszystkie bramy domów winny być zamknięte, a wszystkie okna oświetlone“.

Jak sobie poradzili biedni kaliszanie z brakiem świec i nafty w wielu mieszkaniach — nie wiem — prawdopodobnie rozpacz i obawa przed

ponownem wejściem prusaków lub bombardowaniem—rozwinęły niesłychaną pomysłowość i energję—dość, że tak rześście oświetlonych ulic i placów nie pamiętam w Kaliszu.

Groteskowo też wyglądały uiluminowane puściuteńkie ulice, w których zrzadka tylko głuchy odgłos kroków ciekawego przechodnia się rozlegał. Mimowoli przychodził na myśl obraz katafalku, obstawionego świecami w pustym kościele...

Prusacy nocą nie weszli do miasta, tak że całe usiłowanie kaliszan poszły na marne...

Koło 5—6 rano, gdy wreszcie pochmurny dżdżysty poranek rozproszył mroki nocy—nareszcie ustała ta straszna iluminacja pogrzebowa w Kaliszu.

Ludzie wychodzili z domów zasięgnąć języka... zorjentować się, co robić dalej... Powoli, ostrożnie, najpierw pojedynczo, później coraz większymi grupami, schodzili się kaliszanie, udzielając sobie pogłosek i nowin. Nie można było zorjentować się, gdzie są ukryci prusacy. Bo w zupełne opuszczenie przez nich miasta nie wierzono bynajmniej.

Panika, wywołana gwałtami i bombardowaniem wtorkowem nie ustawała i przy lada okazji ujawniała się zaraz. Rano—na Rynku np. byłem świadkiem następującej sceny: Rozmawiamy z naczelnikiem straży ogniowej—Mrowińskim, oraz sekwestratorem Paszkiewiczem, którzy obaj energicznie zajmowali się oczyszczeniem ulic z trupów, gdy nagle na Rynek wbiega jakiś przerażony do ostatecznych granic młodzieniec. „Trup Frenkla na rogatce... idę się wypowiedać... Prusacy są na Sielance“!.. wypowieda urywane frazesy, gdy go zatrzymujemy.

„Jezus Marja“!—rozlega się czyjś wykrzyk histeryczny—i cała grupa zebrana przed Ratuszem, koło ciał pięciu rozstrzelanych tam mężczyzn, o których mówiliśmy wyżej, w oka mgnieniu rozprasza

się w przestkach. Żadne przekonywania, żadne prośby o trochę choćby zimnej krwi i spokoju nie pomagają. Takich scen popłochu w różnych okolicach miasta spotkałem kilka, a wszystkie bez powodu. Prusacy, jakby zamarli. Wycofawszy się z miasta, zaczęli oni sypać okopy na polach Dóbrzeckich, zajmując akurat pole pamiętnej bitwy 1706 roku, oraz jeszcze jak w danej chwili — pamiętniejszych słynnych rosyjsko-pruskich manewrów w r. 1835. Mimowoli przychodzi na myśl ironja zawierająca się w napisie pomnika na placu Św. Józefa: „Niech Bóg błogosławi wieczną przyjaźń Prus i Rosji na strach wspólnych ich nieprzyjaciół“.

Koło 9-ej rano zjawili się w Kaliszu dwaj zwolnieni z misją uspokojenia miasta, a podobno i wyszukania sprawców strzałów zakładnicy: Handtke i Scholtz. Handtke, zupełnie nerwowo rozbity, niezdolny do niczego, odrazu położył się do łóżka, Scholtz zaś w rozmowach z napotkanymi znajomymi starał się misję swą wypełnić, z wprost przeciwnym jednak skutkiem. Wreszcie panika doszła do zenitu, gdy koło 10-ej rozległ się ponownie huk strzałów armatnich.

Byłem w tym czasie akurat u pośła Parczewskiego, z którym naradzaliśmy się nad sposobem przedostania się do wyższej komendy pruskiej dla wyjaśnienia nieporozumienia, jakiemu przypisywaliśmy wypadki, zasłałe w dniu wczorajszym, gdy padły pierwsze wystrzały działowe. Pożegnałem pp. Parczewskich i, mimo zatrzymywań z ich strony, ruszyłem do domu. Na ulicach, któremi dążyłem do domu, popłoch i przerażenie panowały nie do opisania. Tłumy ludzi, którzy zdecydowali się już uciec i biegły ulicami z tobołkami, nagle zatrzymane hukiem strzałów i świstem pocisków rzucały się obłędnie do bram domów, chcąc ukryć się pod osłoną murów. Pociski szły tym razem w dzielnicę żydowską w północno-zachodniej częś-

ci miasta, było ich naogół niewiele i niewielkie też szkody zrządziły.

Ogółem dali prusacy 12 wystrzałów, co było jednak dosyć, ażeby wśród ludności przerażonej od 36 godzin trwającymi gwałtami, strzelaniną, rozstrzeliwaniami i wreszcie bombardowaniem, wzniecić popłoch niesłychany...

Szczęśliwie dostaję się do domu. Rodzinę zastałem w najwyższym stopniu zdenerwowania w suterrenach wraz z tłumem lokatorów. Podniecenie, płacz, strach ogólny i wreszcie zbiorowa sugestja, czyniąca prawdopodobnemi najdziksze przypuszczenia i obrazy, robią dłuższy pobyt w mieście niemożliwym dla kobiet i dzieci. Po krótkiej też naradzie z D-rem K. postanawiamy rodziny poprowadzić z powrotem na lotnisko.

Gdy dowiedziano się o naszej decyzji wśród lokatorów zebranych w suterrenach, zaczęły się rozgrywać sceny nie do opisania. Żegnano nas z płaczem i błogosławieństwami—odzywały się nawet głosy—„jak można dzieci tak ryzykować“ — „przecież to śmierć pewna“! „Niechże państwo litość mają“!—Decyzję jednak wykonywamy. Nie słysząc już oddawna wystrzałów, wychodzimy. Służące biorą dzieci, my — nieco ubrania. Wśród płaczu i błogosławieństw obecnych przekraczamy bramę, którą momentalnie zatrząskują za nami. Słyszymy przekręcenie klucza i ruszamy puściutką ulicą ku parkowi, a stamtąd przez Tyniec na szosę turecką.

Po godzinnym marszu, łącznie z pp. K., a wśród całej masy uciekających z miasta odbywanym, stajemy na opuszczonym w niedzielę lotnisku.

Stąd już obserwujemy formalny exodus ludności kaliskiej. Dorożki, powozy, karety, bryki, wozy zwyczajne i wreszcie tłumy pieszych mężczyzn, kobiet i dzieci szły do wieczora szosą

i bocznymi drogami. Koło 10 tysięcy ludności prawdopodobnie opuściło Kalisz dnia tego.

IV.

Ponowne wejście prusaków do Kalisza. Czwartek. Strzały i aresztowania. Wchodzą Sasi. Masowe morderstwa 7-go sierpnia. Nowe bombardowanie. Pogłoski o zbliżeniu się rosjan.

Usadowiwszy się ponownie na Pólku, gdzie przynajmniej miało się kartofle, ogrodowizny i mleko na czas dłuższy do wyżywienia i nie było się zamkniętym w ciasnych ulicach pod ciągłą grozą szrapneli i kul pruskich, mogliśmy się choć częściowo uspokoić.

Należało jednak ściągnąć z Kalisza najpotrzebniejsze rzeczy, a następnie i nieco zasięgnąć języka oraz zorientować się, co dalej robić. Stąd też wynikały częste wyprawy do miasta, dzięki czemu byliśmy o wszystkim doskonale poinformowani.

Logika nakazywała przypuszczać, że prusacy, nastrzelawszy dowoli bezbronnych mieszkańców, wzięwszy kontrybucję, zrabowawszy całkowicie nieomal kasę miejską i zbombardowawszy według sił i możliwości chwilowej miasto, dadzą spokój narreszcie, osiągnąwszy dostateczną chyba satysfakcję za własną głupotę i tchórzostwo, oraz prowokację, napewno obcych Kaliszowi żywiołów. Przygotowani też byliśmy do powrotu za dni kilka. W mniemaniu tem wzmocniły nas obserwacje, których mieliśmy sposobność dokonać podczas po-

bytu w mieście popołudniu w dniu ucieczki naszej, we środę.

Musieliśmy z D-rem K. przewieźć do szpitala dyrektora Zakładu Hydropatycznego inż. O., którego cała służba i wszyscy literalnie, prócz żony, opuścili, a który parę dni przed wybuchem wojny przebył ciężką operację. Na szczęście uzyskawszy powóz i konie od znanych pp. B., krok za krokiem jechaliśmy przez całe miasto, do którego tymczasem weszli ponownie prusacy.

Wypadło nam przebyć kilka kordonów rozciągniętych na ulicach. Wogóle nauczeni widocznie doświadczeniem, Prusacy obecnie zachowywali przeróżne środki ostrożności i postępowali krok za krokiem, bacznie kontrolując publiczność. Z nie małym zdziwieniem ujrzałem znów nawiązujące się stosunki wojska z publicznością. Oto np. na Wrocławskiej stoi kordon pruski: obok dowodzącego oficera dwie młode żydóweczki! Flirt idzie w najlepsze. Z okien wychyla się coraz więcej głów i pomału zaczynają wychodzić z domów siedzący w strachu kaliszanie... Miasto chce przybrać normalny wygląd...

Koło godziny 7-ej prusacy opuścili miasto, które znów od 8-ej zajaśniało iluminacją, mimo ich nieobecności—na całą noc.

Czwartek 6-go sierpnia był nieco spokojniejszy w Kaliszu. Prusacy, coprawda na Wrocławskiej, obok cmentarzy postawili kordon i nikogo przezeń nie puszczali. Koło południa zaś do miasta weszły oddziały piechoty, które rozpoczęły aresztowania wśród pozostałych w mieście Rosjan. Aresztowano prezesa sądu okręgowego—Zelanda, sekretarza biura policmajstra Cieślaka, naczelnika więzienia Zirickija, komisarza 2-go cyrkułu i przejściowego naczelnika policji—Kostienkę, naczelnika wydziału śledczego Sawickija i wreszcie niewiadomo z jakich powodów właściciela popularnej cukierni i ogniomistrza straży ogniowej—Schauba,

niemca. Aresztowanych pod silnym konwojem odesłano do szanów pruskich, a następnie wraz z pierwszymi zakładnikami wywieziono do Ostrowa. Żadnych stosunków z uwięzionymi nie dopuszczano — jedynie Bukowińskiemu pozwolono napisać list do żony.

Drugą nieprzyjemną chwilą dla Kalisza w tym czasie były salwy karabinowe i strzały armatnie, jakie nieco popołudniu rozległy się z szanów pruskich. Strzelano do samolotu, naturalnie własnego, przyczem zabito oficera, a pilot, acz ranny kulą w rękę, zdołał wylądować szczęśliwie. Podczas tej jednak strzelaniny, kilka pocisków armatnich spadło na Rypinek i do Parku, nie przyczyniając jednak szkód wielkich.

Dzień ten zdołał w znacznej części uspokoić publiczność. Powracało nawet sporo tych, co poprzedniego dnia uciekli i nocowali w Kokaninie, Dembem, Nędzarzewie, Tłokini lub wprost w lasach podmiejskich. Sporo jednak było i takich, którzy, wynajawszy fury, zajeżdżali do miasta po rzeczy i umykali co prędzej. Sklepy pootwierano, i wogóle miało się wrażenie nadchodzącego spokoju, tymbardziej, zważywszy na pewien nastrój świąteczny i nabożeństwa dodatkowe z okazji dnia Przemienienia. Na noc oczywiście miasto znów uiluminowano, choć w wielu oknach widniały już karty z napisem niemieckim: „lokator nieobecny“.

W Piątek, dzień targowy, duże ożywienie panowało w mieście od rana. W kościołach było pełno pobożnych, sklepy handlowały po kilkudniowym zastoju, ruch panował ogromny. Na Rynek zeszło się nawet z przyzwyczajenia, mimo grozę wypadków ubiegłych, sporo bab wiejskich ze swymi produktami. Do uspokojenia nie mało przyczyniały się nowe odezwy, hektografowane, które zapewniały ponownie spokój i bezpieczeństwo o życiu i mieniu mieszkańców, odwoływały genjalną groźbę rozstrzeliwania „co dziesiątego mieszkań-

ca“, i wreszcie pozwalały nanowo wychodzić gazetom miejscowym z warunkiem oczywiście cenzury prewencyjnej ze strony komendy wojskowej. W razie ponownych strzałów do wojska, odezwa zapowiadała bombardowanie.

Najbardziej też optymistyczne nadzieje zaplanowały wśród ludności, oparte na jaknajniedorzeczniejszych pogłoskach. „Zawieszenie broni zawarto na 5 dni“! „Dziś o 6-ej będzie podpisany pokój“! „Umarł Franciszek Józef“! „Preuskera oddano pod sąd wojenny“ i t. d., opowiadano sobie po ulicach.

Naprawdę zaś na zmianę stosunków kaliskoniemieckich zanosilo się o tyle, że sławetny, a tak upamiętniony w dziejach Kalisza, 155 regiment piechoty wycofano wraz z majorem Preuskerem zupełnie, a na miejsce prusaków miały wejść wojska saskie. Prusacy pozostali jedynie na baterjach koło wiatraków na polach dóbrzeckich, panujących nad miastem. Stojąca tam artylerja pruska została wzmocniona znacznie nowoprzybyłymi kilku baterjami dział polowych.

Sasi jednak okazali się nie lepszymi od prusaków znawcami stosunków. Wiedząc dobrze o stanie miasta i mieszkańców, o nocnej strzelaninie, podejrzeniu pruskiem, że możliwe są zasadzki, nie zawiązali z miastem żadnych stosunków, poza, jak się zdaje, dokonaniem z ich już inicjatywy czwartkowymi aresztowaniami rosjan, oraz powyższą odezwą, jakgdyby niosącą „nowy kurs“ Kaliszowi.

Dokonane zaś w takich warunkach wkroczenie saszów, zakończyło się straszliwą wręcz katastrofą.

„Koło godziny 2-ej popołudniu, opowiada naczynny świadek p. Zofja G., bylam w sklepiku wekslarskim przy ul. Wrocławskiej. Nagle usłyszałam hałas zapuszczanych żaluzji w oknach i do sklepiku wpadł przerażony żyd—„idą“.

Natychmiast sklepik zamknięto, paniczna

trwoga ogarnęła wszystkich, na ulicy cisza zaplanowała grobowa, którą wkrótce przerwał odgłos miarowych kroków. Przez szparę we drzwiach widzę maszerującą kompanję piechoty, za nią w kilka minut przejechało ze 30 ułanów... Niemcy przeszli.

Wypuszczono mnie ze sklepu i pustą ulicą podążyłam domu..

Takiem było przyjęcie sasów na krańcu miasta. W miarę jednak posuwania się ku Rynekowi, panika mijała, publiczność nie uciekała, w sklepach handlowano dalej.

Nagle... w Ryнку ukazał się wojskowy koń w pełnym galopie bez jeźdźca. Szalona panika ogarnęła sasów, szyk został złamany, oficerowie i żołnierze, piechota i ułani przemieszani ze sobą, rzucili się do ucieczki. W popłochu ku zdziwieniu nierozumiejącej nic publiczności, niemcy „rwali“ Wrocławską aż do szpitala, gdzie spotkali nowy oddział.

Po chwili, oba oddziały skomunikowawszy się z obozem wróciły, a za parę minut do niespodziewającej się niczego publiczności zaczęto strzelać na Głównym Ryнку i natychmiast jakby to było sygnałem umówionym—zaczęła się znów bezładna strzelanina po całym mieście. Co się działo z niespodziewającą się literalnie nic podobnego i zgromadzoną na ulicach publicznością łatwo sobie wyobrazić. Prażeni zewsząd ogniem karabinowym, ludzie padali całemi dziesiątkami ranni lub zabici: końskie i ludzkie trupy pomostem zaległy ul. Babiną, Józefinę, Główny Rynek, Skarszewską, Wrocławską i wreszcie Wały i Aleje Parku. Oszałały z przerażenia tłum z wyciem nieludzkim rzucał się bez pamięci do bram i wylotów ulic w tą lub inną stronę, stając się wręcz tarczą dla kul. Szczególniej okropną i groźną stała się katastrofa, gdy na rogatce Wrocławskiej i na Ryнку ustawiono kartaczownice i „polewano“ nie-

mi przez całą długość ulice przyległe — Rynek i plac Ś-go Józefa. Trzask kartaczownic, przypominający nieco darcie twardego płótna, wciąż trwające salwy w różnych stronach miasta, jęki rozdzierające rannych, brzęk szyb rozbijanych kulami wręcz masowo, krzyki przerażenia, zlewały się w hałas iście piekielny.

Pod tym straszliwym ogniem Kalisz trwał przeszło trzy kwadransy. Salwy, to cichły, to znów słabiej lub silniej wybuchały. Tu i owdzie rozległ się jeszcze trzask kartaczownicy, wreszcie zakończyły strzelaninę pojedyncze strzały karabinowe lub rewolwerowe: to waleczni rycerze polowali pojedynczo na zapóźnionych przechodniów lub głowy, ukazujące się w oknie...

Widok ulic Kalisza po strzałach był straszny. Bruk niemal wszędzie zasłany trupami i pełzającymi rannymi, złany krwią, a w ogromnej ilości miejsc formalnie pokryty mnóstwem gilz od ładunków—szczególniej tam, gdzie stały kartaczownice. Wśród trupów byli i sasi. Na Rynku leżał trup ułana z koniem i walało się coś z ośm karabinów niemieckich i kilka tornistrów. Czy były to rzeczy porzucone przez uciekających w popłochu sasów, nie mogłem oczywiście stwierdzić; plamy krwi jednak obok nich świadczyły o tragicznym losie ich właścicieli. Trup żołnierza saskiego leżał w parku, tamże na wale między mostem więziennym a wodospadem w kałuży krwi walał się tornister żołnierski. Jakiegokolwiek ustalenie liczby rannych i zabitych żołnierzy jest absolutnie niemożliwe, wobec szybkiego uprzątnięcia ich przez towarzyszy. Odezwa komendanta saskiego Hellera, podaje dość prawdopodobną choć ogólnikową liczbę „kilku zabitych i kilku rannych żołnierzy“—„jeden oficer ranny“. Kilkanaście furmanek z rannymi, jak stwierdzono, jechało w stronę Skalmierzyc. Również niemożliwym wydaje się ustalenie cyfry ofiar z pośród ludności kaliskiej.

Zginęło sporo przybyłych dnia tego do miasta mieszkańców okolicznych, a następnie zbieranie i kontrolę trupów i rannych uniemożliwiali sasi—rzuciwszy się do rabunku, strzelając do pojedynczych osób i dobijając rannych, przez co liczba zabitych dnia tego—z górą sto osób—wyższą chyba będzie od przypuszczalnej cyfry rannych. Z tych ostatnich ocaleli ci tylko, co będąc lżej ranni, sami uratowali się ucieczką. Ciężej ranni w olbrzymiej większości umarli bez ratunku, lub zostali bestjałsko dobiti.

Szcześliwym trafem ocalał z dobijanych—popularny w Kaliszu właściciel sklepu p. Jan Kindler. Raniony kulą na wylot w szyję—upadł, po jakimś czasie gdy chciał ruszyć się—zauważyli go przechodzący Niemcy i dali doń salwę—z zamiarem dobitcia—jedna kula zsunęła się po żebrach, druga przeszła na wylot rękę i trzecia zadała ciężką ranę w ramię. K. upadł i został dopiero po wyjściu Niemców z miasta odnaleziony i przeniesiony do szpitala, gdzie poprawił się wkrótce. Dobijania tego zresztą Niemcy bynajmniej się nie wypierali—„A poco mieli się męczyć“—oświadczył D-rowi S., jeden z oficerów, na robione sobie wyrzuty z tego powodu.

Podczas rabunku, jaki nastąpił po strzelaniu, rabowano przedewszystkiem konie. Bez ceremonji zabierano je od przybyłych do miasta furmanów, rozstrzeliwując właścicieli w razie najmniejszego oporu, lub choćby protestu. Nie poprzestając na tem—rzucono się później na sklepy w Głównym Ryнку.

Na zakończenie rabunku Niemcy podpalili Ratusz. Po oblaniu naftą wnętrza, żołnierze rzucili tam ogień i sami wybiegli na Rynek, gdzie stał większy oddział. Po mieście tymczasem wciąż jeszcze tu i owdzie, lecz bardzo gęsto, rozbrzmiewały pojedyncze salwy. Dobijano rannych, pełzających we krwi i rozpaczliwie szukających ratunku.

Gdy gryzący dym wypełnił już wnętrze Ratusza, nagle w oknach ukazały się przerażone twarze pozostałych tam jeszcze kilku urzędników i woźnych. Słysząc okrzyki trwogi kobiet i dzieci, którym groziło spalenie żywcem.

Widząc wyglądających w strachu śmiertelnym z okien, Niemcy wołają, aby się ratowali... Wkrótce też przez główne wejście, niemal już z pośród szalejącego ognia, wybiega kilku woźnych, radny magistratu Jormuński oraz sekwestrator Paszkiewicz... Reszta widocznie uratowała się bocznym wejściem przez sąsiedni dom p. Masło...

Nagle dzieje się coś niesłychanego — żołdacy rzucają się na wybiegające ofiary... Pierwszemu z biegnących, żołdak roztrzaskuje głowę siekierą, innych stawiają pod murami i rozstrzeliwują momentalnie *).

Szczęśliwym trafem — cudem można powiedzieć—ocalał wówczas podobno radny Jormuński. Postawiony pod mur — widocznie na jakąś część sekundy przed salwą—omdlał i upadł wraz w towarzyszami, pławiąc się w ich krwi, lecz nie drażnięty nawet żadną kulą. Po kilku godzinach został znaleziony i odniesiony w bezpieczne miejsce podczas zbierania trupów i rannych—co ocaleli przed bestjalstwem prusaków, przez p. J. Zabrowskiego, na którego opowieści opieram zaznaczenia tego faktu.

Wieści o podanych tu już po sprawdzeniu na-

*) Niemcy, chcąc wytłomaczyć się z tej niemożliwej wręcz do uwierzenia zbrodni — ogłaszali, że spalono Ratusz dlatego, że stamtąd padł strzał, który rzekomo zabił oficera. Jest to fałsz. Jak widzieliśmy powodem morderstw piątkowych był spłoszony koń ułański, który wybiegł galopem naprzeciwko wracających sasów i wywołał popłoch. Do konia zaś tego umyślnie czy przypadkiem strzelił ułan. Widział to na własne oczy ocalony urzędnik magistratu J. który, prowadzony na rozstrzelanie, wyrwał się i pod gradem kul uciekł szczęśliwie.

ocznych lub też przez wiarogodne osoby faktach, przedostawały się na Pólko w przesadzonej do niemożliwości postaci. Wraz też z widokiem przerażonych do ostateczności osób, rannych lżej, których wieziono, pokaleczonych koni—odgłosem salw i pojedynczych wystrzałów, które dochodziły wyraźnie, wywoływało to nastrój niemożliwego zderzenia, zwłaszcza, że niektóre osoby z letniska bawiły w samym mieście, narażone na śmierć niechybną z rąk rozwścieżonego żołdactwa.

Wreszcie—koło godz. 5¹/₂ usunęli się z miasta Niemcy—zapowiadało to nowe bombardowanie.

Było kilka minut po 6-ej, gdy od strony Kalisza rozległ się spodziewany przez nas huk wystrzałów armatnich. Artylerja pruska zaczęła bombardować miasto znowu. Tym razem bombardowanie było o wiele dłuższe niż we wtorek. Trwało ono niemal do godziny 9¹/₂, przyczem strzały szły dość gęsto. Strzelano widocznie sekcjami, gdyż po dwóch strzałach następowała kilkuminutowa przerwa, dłuższą znów przerwę zaobserwować można było po ośmiu wystrzałach. Z balkonu willi doskonale mogliśmy obserwować pociski, padające na miasto, lub na okoliczne łęgi. Widoczne za dnia jako obłoczki szybko przesuujące się po niebie, w miarę nastąpienia ciemności stały się one możliwe do zaobserwowania tylko w chwili wybuchu—jaskrawym światłem białym, przypominającym trochę lampki elektryczne, nieosłonięte mlecznym kloszem. Nie wiem z jakiej racji, w obecnem bombardowaniu prusacy uwzględniają przeważnie park i północno-zachodnią część miasta, ulice Stawiszyńską i Skarszewską, oraz przestrzeń podmiejską, zawartą między szosami Konińską i Turecką—tu bowiem najgęściej widoczne są owe światła jaskrawe pękających pocisków. Obawiamy się, czy nie zacznie i nam grozić niebezpieczeństwo, pękające bowiem pociski widzimy

koło suszarni, odległej od nas o 1¹/₂ kilometra niepełna — ale, jak się zdaje, były to już największe wysiłki armat pruskiej artylerji polowej, któremi ostrzeliwano miasto. W każdym bądź razie — świst — ostry i metaliczny zarazem — jakiś dziwacznie buczący — odgłosy przeryniającego powietrze, lecącego pocisku, słyszymy doskonale.

W połączeniu z łuną pożaru Ratusza i niesionym przez wiatr dymem i niemiłym zapachem spalenizny — bombardowanie sprawiało straszne wrażenie.

W trakcie bombardowania wpada na podwórze bryczka, z której wyskakuje jakiś jegomość z wyrazem okropnego przerażenia w oczach i na twarzy całej.

„Panowie — na miłość boską pozwólcie mi tu przeczekać do rana. Jadę do miasta, ale tam straszne rzeczy się dzieją... wstrzymano mnie przed rogatką... bom na śmierć pewną jechał... Aby do rana“ ...

Z rozmowy dowiadujemy się, że jedzie z pod Łęczycy do Kalisza, gdzie synek jego przygotowuje się do egzaminów wstępnych i że od kilku dni niema o dziecku żadnych wiadomości. Usłyszawszy o zajęciu Kalisza przez prusaków i o zajściach w mieście, jedzie ratować dziecko... Kto wie, czy nie zapóźno.

W dalszej pogawędce od uspokojonego nieco przybysza dowiadujemy się rzeczy, które nas bardzo serjo zaniepokoiły. Przejeżdżając przez Uniejów, widział ciągnące w stronę Kalisza wojsko rosyjskie. O sile i rodzaju broni nic nie umie powiedzieć. Pamięta tylko, że rozmawiał z dragonami pułku, konsystującego przed wojną w Kaliszu, i że mówili mu, iż ciągną na Kalisz, aby odebrać miasto i że oczekują tylko w Uniejowie na większe siły. Nic więcej dowiedzieć się nie można. Na pytanie, czy widział armaty, przybysz odpowiada gorączkowo: „Ależ by-

ły, były i to sporo, ale najwięcej dragoni z Kalisza“.

Rozlegające się co kilka minut a nawet od czasu do czasu i częściej strzały działowe, z których każdy mógł być śmiertelnym dla dziecka, nie mogły sprzyjać uspokojeniu się zupełnemu — biedaka — dającego na jego ratunek mil kilkanaście... Wkrótce też pożegnaliśmy go, oddając do rozporządzenia do wyboru pokój w pustej willi, lub pomieszczenie w czworakach między ludźmi — i powracamy do domu.

Dobrze już po 9-ej rozległa się jednorazowa salwa z kilku armat—potężny huk wstrząsnął powietrze.

„No, to chyba już finał, a czas wielki po temu“... rzucam przypuszczenie.

Jakoż zgadłem. Na razie bombardowanie zakończyło się ową salwą. Szkód zrządziło ono stosunkowo niewiele. Pociski zniszczyły sporo drzew w parku, do którego z jakąś zjadłością, jak widzieliśmy, strzelano, popsuły nieco dachów na leżącej wyżej, niż reszta miasta, dzielnicy t. zw. Chmielniku, i porobiły nieco dziur w pojedynczych domach przy ulicy Babinej, gdzie między innymi uszkodzono dom Parczewskich.

Ofiar w ludziach nie było, mieszkańcy bowiem, nauczeni już doświadczeniem, wraz z początkiem bombardowania pochowali się do piwnic i suterren. Wrażenie jednak było straszne, kto pozostał w mieście, ten myślał o ucieczce z tego piekła.

Tymczasem jednak należało nam pomyśleć o nowem niebezpieczeństwie, jakie wynikło ze zbliżenia się do Kalisza wojsk rosyjskich i zapowiedanej przez nie bitwy pod tem miastem.

Wydawała się ona bardzo prawdopodobną. Siły niemieckie, wraz z temi, co nadciągnęły przy armatach, nie przenosiły kilku bataljonów piechoty i dwóch szwadronów, najwyżej, ułanów — nie

licząc oczywiście artylerji, którą obliczać można było na osiem dział i również kilkanaście kartażownic. Wyprzeć więc prusaków z powrotem w granice Niemiec było dość łatwo, odebranie zaś Kalisza i zwycięstwo pod jego murami odniesione, odpowiednio skomentowane i ubarwione, echem rozgłoszonym rozeszłoby się po świecie całym, jako dotkliwa klęska Niemców. Lecz, w razie bitwy nasze Pólko bezwzględnie skazane było na zagładę. Leżąc na wyniosłości, tuż przy szosie Tureckiej, którą właśnie ciągnęli Rosjanie, ze swemi ogrodami gęstemi i sporą ilością murowanych domów, tworzyło ono wyborną pozycję przeciw Kaliszowi, tem bardziej, że zajmujące ją wojsko oparte było prawem skrzydłem o drogę Skarszewską, panującą nad miastem, lewem zaś o rzeczkę Strędną dość w tym czasie wskutek deszczów głęboką. Dworek nasz, murowany, piętrowy, ukryty w gąszczu drzew, mógł stać się zupełnie naturalnym kluczem pozycji rosyjskiej. Skoro to było widoczne dla nas, nie mogliśmy przypuszczać, żeby nie było wyraźnem i dla prusaków, tymbardziej, że w ciągu dni ostatnich, przejeżdżające patrole ułańskie baczenie oglądały wieś całą wraz z dworkiem i zapowiadały chłopom, że w razie zbliżenia się Rosjan, całą wieś będą musieli spalić dla oczyszczenia sobie pozycji.

Po krótkiej więc naradzie zdecydowaliśmy się opuścić Pólko na drugi dzień rano, tymczasem zaś poszliśmy spać, aby sił zaczerpnąć do nowej wędrówki, której pierwszym etapem miał być odległy o jakieś wiorst 12, piaszczystą drogą, na uboczu od szos Tureckiej i Łódzkiej—Kozminek—ongi słynne Wielkopolskie Ateny—siedlisko Braci Polskich—dziś uboga, zapadła miejscina, zachowująca tradycje różnowiercze, jedynie przez olbrzymi odsetek żydów, w których ręku znalazł się tam cały handel.

A nawet — gdyby i pogłoska o nadciąganiu

rosjan nie sprawdziła się, to i tak nerwy pań i dzieci nie były w stanie wytrzymać dłużej straszliwego napięcia. Dzień piątkowy — morderstwa uliczne, których odgłosów w postaci ustawicznych strzałów karabinowych, tępego huku salw i denerwującego trzasku kartaczownic, słuchaliśmy przeszło godzinę, dwugodzinne bombardowanie i owe błyskające na przyległych polach pociski, ciągły ich świst w powietrzu i wreszcie pożar miasta, na tle wciąż uciekających w strachu obłąkania ludzi, mogłyby najmocniejsze nerwy rozstroić. Widzieliśmy to jak najdobitniej na chłopach — gospodarzach. W ciągu dnia tego biedacy kilkakrotnie uciekali i wracali, pomimo naszego uspokajania i zapewnień, że przecież, o ileby tylko rzetelne niebezpieczeństwo groziło, my byśmy nie pozostali napewno.

Bombardowanie wieczorowe wreszcie przechyliło szalę. Gdy koło godziny 11-ej wyszedłem na drogę dla zasiągnięcia języka, wieś zastałem niemal zupełnie pustą. Podsypawszy karmu wszelkiej „gadzinie“ i zamknąwszy chałupy, poczciwi kmiecie uciekli co żywo do wsi sąsiednich, głównie zaś do leżącej za górą Kolonji Tłokińskiej.

Straszne i złowrogie wrażenie robił wieczór tego okropnego dla Kalisza dnia 7 sierpnia.

Nad miastem zwisała olbrzymia czarna chmura dymu, na której czerwonym zarzewiem odbijała się luna dogasającego Ratusza. Ujadanie psów w całej okolicy, daleki pogwar uciekających mimo ciemnej — bo chmury zbierające się na niebie zasłaniały księżyc—nocy mieszkańców, przerywały posępną ciszę nocną. Gdzieś daleko na szosie rozlegał się tentent koni jakiegoś zapóźnionego patrolu, ówdzie znów skrzyp woza napakowanego wysoko i z wysiłkiem ciągnionego przez zbiedzone szkapy, wrywał się w złowrogą ciszę, jaka powoli obejmowała Kalisz i okolice...

Koło 12-ej w nocy, gdy już spokojnie zasną-

łem, rzetelnie zmordowany wrażeniami dnia ubiegłego, znów rozległ się huk złowrogi, budząc mnie ze snu.

Prusakom jeszcze było mało dokonanej zemsty!
Ropoczyało się nowe bombardowanie.

V.

**Całonocne bombardowanie. Aresztowania
mężczyzn. Masowa ucieczka ludności z miasta.
Podjazdy rosyjskie. Nowa panika.**

W „Rzeczypospolitej Kozmińkowskiej“.

Jeżeli ktokolwiek z Kaliszan trzymał się z nerwami dobrze w ciągu dni ubiegłych, to jednak noc z 7 na 8 sierpnia zmusiła go do kapitulacji zupełnej. Bombardowanie całkowicie bezbronnego, leżącego w kotlinie, lub na zboczach gór, otaczających tę kotlinę, miasta, rozpoczęte koło w pół do 12-ej wieczorem w piątek trwało do godziny 6-ej rano, bez najmniejszej przerwy. Owszem, prusacy jakgdyby siląc się możliwie groźniej przemówić do wyobraźni Kaliszan, podtrzymywali ogień niemal bezustannie, tak że nawet niemożliwe było zauważyć przerwy kilkuminutowe między strzałami sekcji, jakie obserwowaliśmy podczas bombardowania poprzedniego dnia wieczorem. Prawdopodobnie nadeszły prusakom nowe baterje dział polowych, absolutną bowiem niemożliwością byłoby przypuścić, że całonocny ogień, przyczem wypuszczono kilkaset pocisków, podtrzymywała jedna baterja. Na szczęście, strzelano wyłącznie granatami lub szrapnelami, inaczej bowiem napewno całe miasto poszłoby z dymem. O tem jednak nie wie-

dzieli biedni kaliszanie, tulący się w śmiertelnej trwodze po piwnicach przez noc całą i w każdej chwili przy każdym nowym strzale i nowym świcie lecącego pocisku wyglądający śmierci. Kto też noc tę w Kaliszu przetrzymał, zaiste dobre musiał mieć nerwy. Szkody też były bez porównania znaczniejsze, niż dawniej. Ucierpiały bardzo Tynec — gdzie np. dom May'a został nawpół zburzony, Główny Rynek, który oświetlony pożarem Ratusza stał się wyborną tarczą dla pocisków pruskich, kilka domów przy Alei Józefiny, gęsto skupione domostwa dzielnicy żydowskiej, a również i główne arterja miasta, biegnące przez całą jego długość ulice: Wrocławska i Warszawska. Ofiar w ludziach zdaje się nie było wcale, chyba gdzieś po przedmieściach w małych domkach.

Przerażenie ludności, trzymane przez noc całą pod kompletnym gradem pocisków, było nie do opisania. To też gdy tylko ustało bombardowanie, wnet tłumy całe wyległy, chwytając co było pod ręką i uciekając na wszystkie strony. Przerażenie i panikę spotęgowała jeszcze wieść o nowem okrucieństwie prusaków. Koło godziny 7-ej rano do miasta wpadły silne oddziały piechoty i ułanów, rozpoczynając formalną razię w zachodnich dzielnicach miasta: na Wrocławskiej, Wydorach, Nowym Świecie, Rypinku i t. d. Żołnierze wpadali do domów, przetrząsali mieszkania, wybijając drzwi zamknięte, wyciągali z piwnic i suterren ukrywających się tam mieszkańców i aresztowali wszystkich mężczyzn, począwszy od chłopców kilkunastoletnich, a kończąc na starcach. Aresztowanych spędzono do kupy i tłukąc kolbami, pędzono za miasto.

Gdy pierwsza partja złożona z 83 mężczyzn stanęła „na Wiatrakach“, żołnierze zaczęli rachować aresztowanych, odprowadzając co dziesiątego na stronę. Za parę minut w oczach przerażonych towarzyszy i nadciągającej nowej partji — dziewięciu ludzi legło krwią zbuczonych pod salwą. Dwu

rzucających się konwulsyjnie na ziemi dobito wystrzałami z rewolwerów.

Natychmiast zarządzono grzebanie, brańcom, oczekującym swojej kolei, kazano kopać doły, tuż za leżącymi trupami...

Tymczasem nadciągały nowe partje, wywleczonych z Kalisza brańców. Można sobie wyobrazić ich uczucia i przerażenie nieludzkie, gdy bliżsi poza gęstym kordonem żołnierzy, ujrzeni walające się na ziemi pierwsze trupy i kopane doły... Zwłaszcza przerażenie wzrosło, gdy niewiadomo z jakiego powodu opodal znów zabrzmiała salwa, a dalej pojedyncze wystrzały...

Ani na chwilę wątpić nie można było, że dzicz niemiecka przystąpiła do wykonania barbarzyńskiej zapowiedzi Preuskera — dziesiątkowania mieszkańców. W takiej torturze psychicznej, mogącej stargać nie wiem jakie nerwy, biedaków w liczbie koło 800 przetrzymano kilka godzin. Położenie stało się tem nieznośniejsze, że wielu przypędzono nieubranych lub nawpół ubranych, a zimno było dotkliwie i wkrótce zaczął mżyć gęsty deszcz, kapuśniaczek.

Dzkiego jednak dziesiątkowania nie kontynuowano. Do wykopanego dołu zepchnięto ciała rozstrzelanych, wylosowanych z pierwszej partji, później jeszcze kilka innych trupów, ofiar zamordowanych już na polu, posypano wapnem i zaczęto zasypywać. Nadzieja zaczęła świtać w sercach przerażonego tłumu..

I straszną jest psychologia bierności i niewoli... Tłum, koło 800 brańców, wyłącznie mężczyzn, stał zbitą masą, otoczony kordonem rozciągniętej szeroko kompanji piechoty... kilkudziesięciu żołdaków, stało po za tem. Tłum, przeznaczony na straszny los dziesiątkowania... przed oczami tych ludzi kopano groby... i nie zaświtał odruch walki... nie powstała myśl wyrwania choćby kilkudziesięciu karabinów, choćby przerwania kor-

donu i uciezki... Byłoby to szaleństwo rozpaczy... ofiary większe może... znane drogi, miasto tuż obok siedmdziesiąt tysięcy... prusaków zaledwie garstka, rabusiów bezwzględnych i morderców...

W ciągu kilku godzin tysiączna blisko, rzęsa stała, smagana deszczem, pod grozą śmierci... Wreszcie przybywa jakiś generał, coś przemawia, czego nawet najbliżsi słyszeć dokładnie nie mogli; kordony ściągają... Tłum brańców szybko powraca do miasta, skąd już od 7-ej rano rwał na północ nieskończony, zdawało się, potok uciekających...

Obrazu tej uciezki nie podobna zapomnieć temu, kto go widział!

Siedmdziesiąt tysięcy blisko, jedno z najbogatszych w Królestwie miasto, wyludniło się niemal zupełnie... Tłumy, nieprzeliczone zda się tłumy, w straszliwej panice szły, lub biegły, szosami, drogami lub wręcz przez pola i łągi z tobołkami na plecach: Panie w domowych ubraniach bez kapeluszy, mężczyźni, ubrani byle jak, objuczeni pakunkami, chorzy, wlokący się i prowadzeni przez krewnych, dzieci płaczące i rozwrzeszczane w niebogłoty... wszystko to biegło lub szło, wymijane przez napchane ludźmi i tobołami wozy, dorożki, zajęte przez niemożliwą do pomyślenia ilość pasażerów, omnibusy podążające byle dalej, byle dalej w niesłychanej wręcz panice...

Najokropniejsze wieści rozpuszczają uciekinierzy.

„Na miłość boską—uciekajcie, uciekajcie. Prusacy gonią, za chwilę tu będą. Gazownia wysadzona w powietrze“.

„Kościół św. Józefa już całkiem rozwalony. Ratusz, Trybunał, Gubernia, Monopol spalone, teraz palą domy“—opowiada ktoś, co przed chwilą wyostał się z miasta.

„Wszystkich mężczyzn zabrali i teraz ich rozstrzelują w Skalmierzycach. O Jezu! Jezu!—jęczy

jakaś otyła jejmość, ledwie będąca w stanie marszerować.

„I wszystkich księży pomordowali—kainy“ — dodaje ktoś.— „Mój Boże—staruszek reformat ledwie dychał, jak go dźgali sztykiem, a ksiądz Adamczyk nikiej padlina na ulicy rzucony“ — dorzuca znów inna kobiecina uboga ubrana.

„Panie mecenasie, na miły Bóg dostańcie koni, dzieci moje nie dojdą w żaden sposób. Łotry prusacy, palą Trybunał ledwie z życiem nas wypuścili“—woła zdenerwowany do najwyższego stopnia archiwista Sądu Okręgowego R., nieomal biegnąc z córką i synkiem...

Na zapytanie, co się w Kaliszu działo jak wychodzili, żaden nieomal z uciekinierów nie jest w stanie odpowiedzieć.

Pożar, który wówczas, jak wiadomo zniszczył jedynie gmach magistratu w wyobraźni ogarniętego paniką tłumu, przybierał rozmiary niesłychane. Według słów zbiegów sądząc, możnaby było uważać połowę miasta za spaloną lub zburzoną pociskami podczas bombardowania.

Wogóle, stan psychiczny tłumów, co opuściły Kalisz, okropny. Całe szczęście, że otwartą była duża przestrzeń przecięta szosami Łódzką, Turecką i Konińską i mnóstwem dróg, gdyż inaczej tłumy, cisnące się na jakiejś jednej drodze, mogłyby spowodować niesłychaną katastrofę. Na nic szły wszelkie próby uspakajania, przedsiębrane przez nieliczne przytomniejsze jednostki, lub przez nas, co bombardowanie nocne obserwowaliśmy zdaleka i nie byliśmy w stanie ulec powszechnej panice. Panika ta chwilami przybierała postać zbiorowego obłędu. Choć i pojedynczych wypadków obłędu nie brakło.

Wśród mijających Pólko grup widzę sporo osób, ogarniętych obłąkaniem. Oto np. szybko idzie z innemi wykrzywiony dziko jakoś dobry znajomy mój R. „Ho, ho, ho—chałupa verfall, ver-

fall!“ — woła do mnie, kłaniając się szarmancko—
„verfall chałupa, verfall, verfall“—powtarza dalej...

„Panie mecenasie—krzyczy niedługo po nim klient mój W.—bierz się pan teraz za mojego ojca, czas wielki na to“!

Błądny wyraz oczu, konwulsyjnie wykrzywiona twarz, świadczą wymownie o nienormalnym stanie biedaka.

Ówdzie, żydówka stara, ledwie ją mogą utrzymać dwie osoby, rzuca się jak w malignie. Pół ślepa, zaropiałe oczy, peruka, pocieszenie przekrzywiona, odkrywa wstrętne rzadkie siwe kosmyki. Wrzask jakiś nieludzki wrywa się z jej gardzieli...

Takich scen mnóstwo. Nerwy współczesnego człowieka widocznie nie są w stanie znieść okropności wojny... Niemal połowa uciekających robi wrażenie pijanych...

Jak dla kontrastu, spotkać można sceny, mimo całej grozy sytuacji wywołujące uśmiech na twarz mimowolny... Oto np. truchcikiem biegnie jakiś starowina bez czapki, dźwigając pod pachą... kota. To znowu kłusem biegnie bardzo solidny kupiec kaliski W. w najbardziej jak tylko można sobie wyobrazić zaniedbanem ubraniu, a z tyłu, za chałat męża przytrzymując, biegnie sapiąc i krzycząc otyła jego żona z dziećmi. Tam znów idzie młoda para: on dźwiga „na barana“ małego synka, ona zaś z gracją niesie... klatkę z kanarkiem. Wreszcie... grupa, na jej czele brnie po błocie grenaderskim krokiem, z potężną pierzyną na plecach, kaliski arbiter elegantiarum „prezes prezesów“, znany z powagi i zalet towarzyskich mecenas Z., tuż za nim obładowany rzetelnie ex-komendant wolnego miasta Kalisza M. i wreszcie inżynierostwo Szt. oboje niezwykle dorodnej postaci, dziś biorą formalny rekord pieszy, w końcu wreszcie—dawny zakładnik pruski —fabrykant Handtke, który, jak zresztą większość uciekinierów uratował zaledwie letni garnitur.

Wśród tego popłochu nowa wieść przychodzi. „W Skarszewie dragoni rosyjscy! Każą opuszczać domy podmiejskie, będzie bitwa“!

Skarszew leży o trzy wiorsty od nas zaledwie, wielki więc czas i na nas.

Zapanowawszy nad sytuacją, rodzina bowiem włóдаря Szczepana, co miała z nami jechać, dostaje jakiegoś zbiorowego ataku oporu i hysterji, chcąc uciekać w inną stronę, ruszamy.

Dobrze znany Kaliszowi omnibus „Kalisz-Pólko“, którym codziennie kilkanaścioro dzieci z miasta przybywało na „zagonki“ do Pólka, wypełniony po brzegi dziatwą i niewiastami, wyjeżdża na szosę, za nim idzie wóz wypchany z najpotrzebniejszymi rzeczami kilku rodzin—za wozem dwie krowy, co ani rusz nie chcą nagiąć się do ogólnego nastroju trwogi i pośpiechu, ociągając się i rycząc, mężczyźni bądź przy koniach, bądź z tyłu, no i po chwili wpadamy w szeroki potok uciekającego tłumu.

Na dobitkę zaczyna padać deszcz, kapuśniak coraz mocniejszy i tak smagani przez bezlitośne niebo, a pędzeni oczekiwaniem bitwy i strachem przed prusakami, idziemy z początku szosą, a następnie wjeżdżamy w piaszczystą drogę, prowadzącą przez Dembe i Nakwasin do pierwszego etapu naszej podróży—Kozminka.

Wszędzie tłumy: zwaliska starej karczmy pod Skarszewem wypełnione po brzegi, w lesie moc uciekinierów, chroniących się przed deszczem pod drzewami, lub też leżących bezsilnie ze zmęczenia...

Mijamy możliwie szybko tłumy uciekinierów, gdy nagle spostrzegamy, że usunęliśmy się z Pólka w samą porę. Między drzewami wyraźnie widzimy ukazujące się dyskretnie szare bluzy i okrągłe czapki dragonów rosyjskich. Większy ich udział biwakuje zapewne w lesie.

Drugi niewielki podjazd spotykamy w Dem-

bem, przepelnionym uciekinierami. Po chałupach, stajniach, oborach, zabudowaniach dworskich, wszędzie widać biwakujących kaliszan. Poczcwiwi chłopci przyjmują ich i pomieszczają, jak mogą.

Widzimy, jak zbity tłum otacza podjazd dragoni. Jeden z dragonów coś mówi — poczem — wszyscy zdejmują furażerki, kłaniają się i odjeżdżają wyciągniętym kłusem. Wśród publiczności wszczyna się rwetes. Śpieszę dowiedzieć się o co chodzi. Okazuje się, że dragoni nakazują wszystkim mieszkańcom opuszczać chałupy i wynosić się aż po Koźminek, bo za parę godzin będzie tu wielka bitwa.

Nowy wybuch paniki: do uciekinierów kaliskich przyłączają się chłopci z Dembego i kolonji poblizkiej. Zaczyna się płacz i rozterka. Tłum w zamieszaniu rusza dalej, lecz wkrótce po odjeździe dragonów, widzimy rwącą przez pole powrotną falę uciekinierów od strony Nakwasina.

„Uciekajcie za Wartę — tu każą wszystko opróżniać, palić będą“! — wołają. „W Koźminku 15 tysięcy ludzi obozuje na rynku, głód i choroby“! dorzuca ktoś inny.

Oczywista nieprawda! A jednak panika się wzmaga, ogromna część uciekających tłumów rwie nazad ku szosie, aby oddalić się jak najwięcej od Kalisza. Do uciekinierów kaliskich przyłączają się uciekający przed zapowiedzianą bitwą chłopci... Płacz i zamieszanie wzmagają się...

Mimo wszystko, opanowujemy nerwy i ruszamy dalej, stosunkowo niewielka garść dotrzymuje nam placu... Reszta uciekła w inną stronę — ku Turkowi...

Napotykamy po drodze pełno ludzi z sił zupełnie opadłych, śpiących na mokrej ziemi przy drodze lub w lasku, obojętnych na wszystko...

Wreszcie po kilkugodzinnej podróży dopełzamy nareszcie do owego Koźminka.

Uderza nas przedewszystkim wrażenie zupeł-

nego spokoju, jaki panuje w mieście. Mieszkańcy, co prawda w znacznej części powychodzili z domów, rozmawiają z uciekinierami, ale ani śladu popłochu, na jaki patrzymy od dni kilku. Patrole straży ogniowej na Rynku i po ulicach...

W Koźminku natychmiast prawie znaleźliśmy niezgorsze wcale przyporzysko w miejscowej szkole początkowej, a dzięki gościnności zacnego nauczyciela i jego rodziny, nie brakło nam nieomal niczego na tym kilkogodzinnym etapie.

Znajomych znaleźliśmy sporo, przeważnie jednak takich, którzy wyjechali z Kalisza jeszcze przed piątkowym bombardowaniem.

VI.

Przyjazd do Kalisza. Trup — miasto. Jak niszczono Kalisz. Wyjazd. Przygody pożegnalne. Zakończenie.

Po kilkunastu dniach nieobecności, musiałem znów przybyć do Kalisza. Do wsi, gdzie dzięki serdecznej gościnności właścicieli, ulokowaliśmy się po opuszczeniu Pólka, a następnie i Koźminka przychodziły wieści jaknajokropniejsze i najsprzeczniejsze. Wieści te w połączeniu z widokiem chmur dymu pełzających ponuro nad Kaliszem, nie usposabiały bynajmniej uspakajająco, maszerujący zaś w głąb kraju przez naszą okolicę żołnierze i oficerowie niemieccy nic absolutnie pewnego udzielić nie byli w stanie. „Miasto strzelało do nas — zostało zniszczone” — i tyle.

Dla naocznego wreszcie przekonania się, no i w razie możliwości uratowania jakichś rzeczy, choćby najpotrzebniejszych zdecydowaliśmy się na podróż...

Rankiem, w połowie sierpnia wraz z pp. inżynierostwem M. siedliśmy na bryczkę i ruszamy.

Podróż zaczęliśmy pod bardzo niepomyślnymi auspicjami. Towarzysz nasz został — odjechaliśmy bez niego. „Miał przeczucie“ śmiejemy się... Później kłótnia z „babą“. Wprawdzie młodzianka i niezwykle sympatyczna p. inżynierowa, z którą właśnie zaszła ta „kłótnia“ na temat jej uczestnictwa, w wycieczce nie kwalifikowała się do nazwy „baby“, aleć zawsze... „Przechucie“ naszego towarzysza podróży zakończyło „kłótnię“... otwierając wygodny wakans na bryczce, dwa więc „omeny“ wykluczyły się wzajemnie, gdy w tem... masz djable kaftan, za Kalinową najklasyczniejszy... zając... i to zając najczystszej krwi „wroźbowy“. Tak, jakby, bestja, czytał Glogera, Wójcickiego, czy innych znawców przesądów ludowych, lecąc potem, zatrzymał się trzy razy, obejrzał nas no i... przebiegł drogę prościuteńko, nie zbacząc wcale...

Jakoż i wróżby zaczęły się sprawdzać. Za Skalmierzem, widzimy dym na torze kolejowym, a wkrótce potem, ukazuje się najprawdziwszy w świecie pociąg, pchany przez lokomotywę... Jadąc, coraz bardziej zbliżamv się do pociągu; wreszcie, kiedyśmy już na pewnej odległości wyminęli go, pociąg staje...

Do licha! Wkrótce widzimy, jak z pociągu wychodzi gromada szarych postaci... rozsypuje się i choć zdala, lecz poznajemy żołnierzy niemieckich. A tu, jak na złość, piach niemożliwy, po którym z trudnością pełzniemy pod górę, na której jakiś lasek. Boże! ileż złorzeczeń musiała wysłuchać od nas w ciągu tych chwil paru szlachetna Polska za lekkomyślne trzebienie lasów, szczególnie gdy ów

lasek okazał się rzadziutkim gajem, a my byliśmy wciąż na widowni...

Na szczęście, widocznie zając nie miał ściśle-go związku z prusakami. Widzimy bowiem, że znaczna ich część zabiera się do roboty na torze... Jak się okazało, byli to saperzy, wysłani do prze-robienia toru kaliskiego na wązkotorowy, którzy akurat dnia tego mieli być spędzeni z robót koło Kociołek przez wieść o zbliżających się kozakach.

Wreszcie straciliśmy ów, złowrogi zdała, a tak dla nas naprawdę nieszkodliwy, pociąg i jedziemy spokojnie, starannie rozpytując się o Kalisz, stan jego i dzisiejsze w nim stosunki. Nie wiele jednak skorzystaliśmy na tej ankiecie. Wieści były tak sprzeczne, że z wielką trudnością można było coś nie coś z nich wykombinować. Dość powiedzieć, że nawet nie byliśmy w stanie dowiedzieć się na-pewno, czy domy nasze spalone, czy nie. Wielu na własne oczy widziało najzupełniej całe i nie-uszkodzone inni znów, na takie same własne oczy widzieli jedynie pośepne ich zgliszcza... Wieści przeważnie były wręcz hiobowe: „Wczoraj rozstrze-lali 25“! „Palić przestali, ale strzylają do każdego, kto się pokaże“! Choć nie brakło i optymistów krańcowych: „Ależ—jedźcie, państwo, spokojnie!—Wczoraj po Kaliszu spacerowałem“... „Jest milicja nasza, od niej wszystko zależy“—informują nas in-ni. Przeważa jednak wszędzie strach i stąd wieści, nadchodzące z nieszczęsnego miasta do wsi, nie-zwykle są przesadzone...

Pewne wiadomości zdobywamy wreszcie w Tłokini i pp. Chrystowskich, do których wstę-pujemy, jako na ostatni etap naszej wyprawy przed wjazdem do Kalisza. „Jest źle, bardzo źle, ale jechać można, wyjechać również, wywieźć coś niecoś, byle nie dużo — także można“. Słowem — mamy zjeść obiad i ruszać w towarzystwie p. Chr. Oto ostateczne zesumowanie wszystkich roz-praw na temat Kalisza.

Dictum, factum... Po obiedzie ruszamy i zjechawszy z bocznej drogi na szosę łódzką, odrazu widzimy już kawałek drogi przed Tyńcem—ślady działalności kulturträgerów niemieckich.

Cmentarz—stratowany i zasłany słomą—widocznie na nim Niemcy biwakowali, ogrodzenie zniszczone zupełnie. Na szosie za cmentarzem—barykada; pozostawiono wązki tylko przejazd. Za barykadą, dwóch sasów, widocznie z landszturmu w odwiecznych pikielhaubach bez szpiców, na pikielhaubie biały krzyż. Obok, na łączce biwakuje kompanja piechoty. Przy wjeździe na sam Tyniec, atmosfera zdobytego miasta, żołdactwa wszędzie pełno. Tu widać, jak cztery wieprze, gdzieś z pod Drezna czy Lipska, wyniosły sobie przed domek do ogródka stół i rżną w karty pod okiem licznej galerji, tam znów podwórzec wypełniony pociągami wojennemi, na każdym kroku warty, co kilkanaście domów koszary, z których okien wyglądają opasłe gęby z fajami w zębach. Ganc gemütlich.

Przed komendanturą ruch... Obok drzwi przybity arkusz papieru, na którym atramentem w dwóch językach wypisane „Magistrat miasta Kalisza.“¹ Gospodarz kamienicy, a dziś sam imć wice-prezydent miasta—fabrykant i przedsiębiorca łodzi motorowych, stąd tytułowany „Admirałem“ Gustaw Michael, czyni harmider straszliwy, wymyślając na prawo i lewo, każdemu, kto się tylko nawinie. Obok—kilku żołnierzy w pełnym uniformie z bronią i dwóch milicjantów z białemi, ozdobionemi czarnym krzyżem przepaskami na rękawie...

Komendant ma być dopiero o 2-ej, idę więc oglądać miasto.

Po przejściu mostu Rephanowskiego—odrazu uderza w oczy zegar na wieży Ś-go Józefa—nastawiony na czas środkowo-europejski i widok

drzew na skwerze — nieomal ogołoconych z liści, co brunatne i zeschłe walają się na ziemi.

Dalej — widok, uderzający grozą: Plac Ś-go Józefa — ze sterczącym po środku pomnikiem — rosyjsko-pruskiej przyjaźni — spustoszony całkowicie. Poza kościołem luterańskim i przyległymi gmachami pojezuickimi (dziś koszary) wszystkie domy wypalone. Ponuro jakoś sterczą okopcone ściany, wewnątrz puste zupełnie — kupa gruzów i popiołu na ziemi, resztki łóżek żelaznych, drutów telefonicznych — ówdzie, jakiś dziwacznie pogięty przedmiot metalowy, to wszystko, co zostało z mieszkań. Dawna loża masońska — dwupiętrowy gmach z ładną kolumnadą na froncie — w ruinie. Z całej kolumnady — sterczy jedna kolumna — wewnątrz domu wszystko zniszczone całkowicie. Ul. Warszawska, Marjańska, tak dawniej pełne ruchu i życia, ze swymi sklepami, zniszczone doszczętnie. Wśród szeregu pogorzeliś, sterczy dziko jakoś wyglądający dom obywatela niemieckiego, p. Tschafke. Cukiernia Szauba — ognisko polityków miejscowych, dom Lesserów, miejsce narodzenia Asnyka, księgarnia, poczta — zniszczone najzupełniej. Pusto i głucho, obok przechodzącej gdzieś postaci jakiegoś mieszkańca Kalisza, widać tylko rozstawionych dość gęsto, a przechadzających się miarowym krokiem sztyldwachów saskich.

Nic się jednak nie da porównać z wrażeniem, jakiego doznaje ktoś, znający dobrze miasto, wchodząc na Główny Rynek... Ani jednego domu w całości! Rogowy dom, z dawną cukiernią Mejera — giełdą miejscową na Kalisz i Skalmierzyce, zburzony doszczętnie — kupa gruzów z wążutką ścieżyną po środku, leżąca na ogromnej przestrzeni, to wejście w ul. Łazienną, na której również wszystkie domy, prócz Korpusu Kadetów i ostatnich przed paskiem kamienic spalone. Na przeciwległym rogu, wprost al. Kanonickiej, w ruinach ogromnej kamienicy Botkowskiego, uderza w oczy

zawieszony nieomal w powietrzu, skarbiec oddziału Ryskiego Banku — obok ruiny historycznej kamienicy, dawnego pałacu biskupów, domu, z którego w 1806, jako z głównej kwatery powstańczej jen. Dąbrowski—wezwał Wielkopolskę na prusaka przed 108 laty. Stara bursa jezuicka ze stylowemi sieniami i podwórzami, co na wiek XVI patrzyły, front Dyrekcji szczegółowej, okopcony i zniszczony okrywa kupy gruzów wewnątrz, staroświecki stylowy dom mec. Jeruzelskiego z bogatemi zbiorami właściciela — w ruinie, okaleczały Ratusz, pokracznie sterczy trupiami opalonymi murami... Szerzeg placówek młodego handlu polskiego: Ziółkowski, Biskupski, Gałczyńska, Kugo, Stitler, Przybylski—sklepy forsownie stawiane na modłę europejską, niedawno rozszerzone i ozdobione olbrzymiemi, jak na Kalisz, wystawami—znikły zupełnie, gruzy i gruzy... Fabryka Mystkowskiego i sklepy jego, ogromny szereg sklepów „Pod Krakusem”—jedną olbrzymią ruiną...

Głucho, straszliwie jakoś głucho w pustce rozlegają się moje kroki, wśród ruin ładnego Głównego Rynku. Szydłowach saski, koło którego właśnie przechodzę, ze zdziwieniem przygląda się rzadkiemu widocznie przechodniowi w ubraniu bardziej eleganckim...

Idę dalej i mijam znów szyldwacha, któremi wogóle gęsto ostawiono ulice, chcę dalej zwiedzić owo trup miasto...

Wąziutka ul. Wrocławska, dla przejścia zamknięta. Puste mury domów wałą się raz poraż, jakoż i widzę stojąc obok szyldwacha, jak chmura kurzu wznosi się i wśród piekielnego łoskotu, odzywającego się echem głuchym w pustkowiu ruin tego dziś prawdziwego miasta — trupa, wali się ściana któregoś domu na środek ulicy...

„To już trzeci dziś“—objaśnia mnie łaskawie szyldwach, jakiś widocznie dobroduszny bürger

z zapadłej saskiej dzielnicy, przedzierzgnięty dziś w uczestnika najdzikszego chyba jak dotąd objawu toczącej się wojny, rabunku i zniszczenia bezbronno Kalisza...

Rzucam okiem na wypalone: Rozmurek, gdzie sterczy sieroco ocalona jakimś dziwnym trafem kamienica rej. Cybulskiego, ul. Złotą, spaloną częściowo, Kanoniczną, przechodzę ocalonemi od pożaru, choć widocznie splądrowanemi i zrabowanemi ulicami i poza kanałem Proсны, w funkcjonującym dziś jedynym kaliskim sklepie kolonialnym p. Łukowskiej kupuję kilka sprawunków, mijam gmach szkoły Realnej, przekształcony obecnie na szpital. Spalony nowiutki i ładny gmach Tow. Pożyczkowo-Oszczędnościowego, kościół Reformatorów, częściowo zburzony, ostrzelany z powybijanemi od kul karabinowych oknami szpital i wreszcie niedawno rozszerzoną na tym miejscu ul. Wrocławską, gdzie jedynie dwa gmachy — willa Waigta i nowobudujący się Bank Handlowy, ocalały i wchodzę w perłę ulic Kalisza, Al. Józefiny.

Tu stosunkowo szkód najmniej. Spalony rogowy ogromny dom Oppenhejma, ładny teatr miejski nad Prosną, parter gmachu Banku Państwa, sklepy w domu Reina za Sądem Okręgowym i widocznie próbowano podpalić dawny „Folusz“ Rephanowski. Po za tym wszystko ocalało, lecz nosi widoczne ślady bombardowania i rabunku. Przykre tylko wrażenie okropnie robi pustka zupełna i drzewa z zeschniętymi od pożaru liśćmi.

Park — ów słynny park kaliski, artystycznie wręcz utrzymany i hodowany starannie od dłuższego czasu, zapuszczony, zdeптany, ze śladami biwaków, smutne czyni wrażenie. Między Hydropacją a bramą od placu ś. Józefa, ziemia rozkopana i wznosi się niewielki pagórek.

Tu zakopali zabitych w parku podczas strzelaniny; leży ze trzydzieści osób, ledwie ich zasypali wapnem, bez trumien.

Od spotykanych na ulicy, lub też takich, co zobaczywszy mnie z okna, wybiegli z domu, znajomych dowiaduję się straszliwych szczegółów katastrofy. Przygnębienie i przerażenie panują dotąd wszechwładnie, a niepodobna sobie wręcz wyobrazić, jakim był nastrój mieszkańców Kalisza, którzy przetrwali cały tydzień strzelaniny, bombardowań i rabunków w mieście. Dość powiedzieć, że, dopytując się o swoich znajomych, dowiadują się o kilku wypadkach obłąkania, kilku samobójstw. Między innymi, nie zdoławszy przenieść okropności chwili, wyczerpawszy znać całą siłę nerwów, samobójstwem zakończyła ceniona w Kaliszu bardzo i zasłużona działaczka na polu oświatowym, nauczycielka p. J. S.

Dodajmy, że trupy i rannych, choć w części, zbierali z ulic dobrowolni i często własnoręcznie nawet grzebali samarytanie, którzy wytrwali na stanowisku do końca niemal. Nazwiska tych bohaterów—te chociaż, których mogłem się dowiedzieć przytaczam. Byli to: obywatel i właściciel pierwszorzędnego zakładu tapicerskiego p. Szpecht, który po pogromie szpitala, chorych wzięł do swojej kamienicy, pomocnik rejenta Wągrowski, zarządzający drukarnią „Kaliszanina“, Piotrowski i elektrotechnik Lebedziński — czynny od pierwszej strasznej nocy, wraz ze znanym już nam „karbonarjuszem“ Zaborowskim, rannym nawet przy pełnieniu swych obowiązków. Na podkreślenie też zasługuje bohaterstwo naczelnika ochotniczej straży ogniowej p. St. Mrowińskiego, który wytrwał na stanowisku, utrzymując porządek w mieście, organizując milicję i t. d., przez czas cały niemal kaliskiego piekła...

Że pełnienie choćby najbardziej humanitarnych obowiązków w tym czasie połączone było ze straszliwym niebezpieczeństwem dowodzi los szpitala św. Trójcy w Kaliszu. Szpital ten, wbrew elementarnym pojęciom cywilizacji i surowo prze-

strzeżanym nawet u barbarzyńców zasadom praw wojennych, został napadnięty i zdemolowany, li tylko wskutek znów bezdenne go tchórzostwa Niemców.

Oto, jak się rzecz miała według opowiadania naocznych świadków lekarzy szpitalnych.

Szpital zbombardowany już 8 sierpnia wogóle, jak opowiada naczelny jego lekarz dr. Dreszer, był przedmiotem jakichś dziwacznych a ciągłych napadów żołnierskich. Niemal co noc wpadali na rewizję Niemcy, to znów widząc ślepe drzwi, wciąż w nie dobijali się, a następnie, gdy otwierano im inne, złościли się i przykładając lufę rewolweru do głowy, oświadczali, że drzwi tendencyjnie są zamykane przed nimi i t. d.

Kiedyś zabito stróża, a sanitariusz z nim będący ledwie uratował się w ten sposób, że wraz z nim upadł i osłaniał się trupem, innym znów razem jakiś oficer kazał żołnierzowi pchnąć dr. D. bagnetem, dopiero na zwróconą przez żołnierza uwagę: „Herr Leutenant—er hat den rothen Kreuz“—rozkaz odwołał..

Takie postępowanie doprowadziło wszystkich w szpitalu do stanu niemożliwego zdenerwowania, tymbardziej, że ulegali mu wszyscy niemal lekarze. Wreszcie zaszedł fakt wręcz niepodobny do wiary.

Jakoś po ostatniem bombardowaniu—opowiada jeden z lekarzy szpitalnych—późnym wieczorem przechodziło obok szpitala kilkunastu żołnierzy. Nagle rozlegają się strzały, żołnierze rzucają się jak szaleni do drzwi szpitalnych, dobijają się, usługujący chłopak im otwiera. Chwyta go jakiś podoficer i strzela dwukrotnie z rewolweru—szczęściem chybia. W tejże samej chwili inni Niemcy zatrząskują drzwi, wpadają do poczekalni, rzucają karabiny, biegną w dzikim popłochu do sal i wyskakują przez okna, wielu pada, zrywają się, lecą

dalej, w ucieczce wobec oniemiałych chorych i służby.

Niedługo nowe strzały—grad kul posypał się w okna szpitalne. Chorzy w dzikim przerażeniu pozrywali się, kryjąc się pod łóżka, wszyscy rzucili się na podłogę. Okropne krzyki przerażenia zmieszały się z terkotem karabinów i brzękiem wybijanych kulami okien. Dym i kurz oslepił obecnych. Wkrótce przez wywalone kolbami drzwi Niemcy wpadli do szpitala, brutalnie przewracając wszystko do góry nogami. „Stąd strzelano do nas“! Próżne były tłumaczenia lekarzy, opowiadanie o strzałach ze strony żołnierzy, którzy właśnie przez szpital uciekali, pokazywano karabiny, porzucone tornistry... Rewizja, jak najściślejsza nie wykryła oczywiście, mimo to, kazano wychodzić wszystkim mężczyznom. Prócz ciężej chorych, którzy absolutnie nie mogli się ruszyć, (między innymi, wspomnianemu już właścicielowi Hydropatji, inż. O. zrewidowano bandażę) wywleczono wszystkich i lekarzy, sanitariuszy, służbę. Dr. S. np. został wzięty wraz z trzema synami, uczniami szkół średnich, najmłodszy z nich miał 12 lat zaledwie — otoczono ich kordonem, wyprowadzono za miasto i poczęto robić przygotowania do rozstrzelania. Egzekucji jednak zaniechano i pozwolono wracać. Powracających znów napadnięto i zawleczono w to samo miejsce.—Dopiero dr. D. dobrze umiejący po niemiecku, zdołał sprawę jakoś wyjaśnić — puszczono ich znowu, nakazując okrążyć miasto.—Po trzech godzinach nareszcie — ujrzano ich z powrotem w szpitalu, gdzie opłakiwano biedaków, jako rozstrzelanych.

Nie koniec na tem! W jakąś godzinę Niemcy zniemacka podpalają szpital. Ledwie uratowano chorych...

Było to już nad siły ludzkie. Dr. D. doszedł do stanu niemożliwych do zniesienia halucynacji słuchowych i wzrokowych. Kiedyś też, wzięwszy

jedynie laskę i kapelusz wyszedł i nie wrócił, inni lekarze również, nie mogąc znieść warunków, opuścili szpital i miasto.

Wśród nielicznych chorych pozostał jedyny dr. Sikorski, który bohatercko wytrwał na stanowisku, zarówno podczas gdy szpital znajdował się w prywatnych mieszkaniach domu Szpechta, jak i później w Szkole Realnej.

Na ogół, straty, jakie poniósł Kalisz, na miliony trzeba obliczać...

Spalona została najbogatsza i najstarsza część miasta—prawdziwe City kaliskie—z największymi sklepami, magazynami... Kilkaset (według prywatnych obliczeń 586) kamienic zniszczono i to zniszczono w ten sposób, że odbudowanie spalonych musi być poprzedzone przez zupełne rozebranie przepalonych całkowicie, choć sterczących murów... Mimo woli przychodzi na myśl przypuszczenie, czy to nie zgodne z tradycją wszelakich Albrechtów Niedźwiedzi i Krzyżaków przygotowywanie gruntu pod „Neu-Kalisch“ — niemiecką dzielnicę pruskiego Kalisza...

Szkód od bombardowania widzieć można niewiele stosunkowo—większą ich część oczywiście—ukrył pożar...

Kanonja na pl. Ś-go Józefa rzuca się w oczy dwoma ogromnymi otworami pokaleczona fatalnie, ocalałe domy na ul. Babinej, Nadwodnej, Al. Józefiny, gdzie w domu Friedmana na dachu i trzecim piętrze widać ślady od kilku pocisków... Na Wiejskiej, Nowym Świecie, ocalonej części Wrocławskiego Przedmieścia (między kośc. Reformackim a „Sielanką“), pełno śladów na wyższych piętrach, dziury wybite i tynk opadnięty... tu i owdzie wyrwane okno... Co jeszcze uderza, to masa wystrzelonych szyb w oknach parterowych mieszkań na ocalonych ulicach. Można sobie wyobrazić, jaki grad kul i kartaczy szedł w pamiętne dni i noce pierwszego tygodnia wojny europejskiej na

nieszczęsnych kaliszczan, ani spodziewających się tego, że zostaną pierwszymi tej wojny ofiarami...

Ilości zabitych obliczyć, jak zaznaczyłem już wyżej — niepodobna. Osoby najczęściej zasłużone przy grzebaniu zmarłych i zbieraniu rannych, część tylko ofiar zdołały pogrzebać, a było tego przeszło setka. Znaczną część pozabijanych pod rogatkami pogrzebali chłopci okoliczni, pomordowanych „na Wiatrakach“ i w sobotę 8 sierpnia wogóle (kilkadziesiąt osób) Niemcy.

W każdym bądź razie liczba tysięcy ofiar, jaką podaje fama ogólna, jest stanowczo zbyt wysoka. Najprawdopodobniejszą jest cyfra 200 do 250, którą mi podali ludzie bliżej stojący katastrofy i sam prezydent Bukowiński, z którym spotkałem się przypadkiem.

Bukowiński stał się w całej katastrofie kaliskiej prawdziwym męczennikiem na swoim stanowisku.

Zmaltretowany, uwięziony pod zarzutem, iż właśnie z Ratusza wypadł pierwszy strzał do wojska w ową noc z 3 na 4 sierpnia, zagrożony co kilka minut rozstrzelaniem, po tygodniowym więzieniu wrócił wraz z innymi zakładnikami do zniszczonego doszczętnie miasta, które kazano mu doprowadzić do porządku. Niemcy dodali mu w charakterze wice-prezydenta, Michla, oraz radnych, dwu obywateli o niemieckim brzmieniu nazwiska. Z pomocą p. Mrowińskiego zorganizowana została milicja miejska i jako tako idzie... a Bukowiński wciąż jest odpowiedzialny „głową“ za porządek w mieście w $\frac{1}{2}$ spalonym, całkowicie zniszczonym i gdzie każdy bez wyjątku żołdak ma prawo życia i śmierci nad każdym cywilem... Wygląda też okropnie. Mimo choroby, w rozmowie ze mną skarżył się na stałe 39 gorączki — nie może dostać, ani urlopu, ani zwolnienia... Wymierzony, czarny o pałających gorączką oczach

i słabym głósie, robi ten jedyny chyba nawet i dziś prezydent-zakładnik nader bolesne wrażenie.

Życie publiczne Kalisza koncentruje się dziś na trotuarze przed kamienicą Michla przy ul. Stawiszyńskiej, gdzie mieści się komendantura i „Magistrat miasta Kalisza“. — Jakoż w oczekiwaniu na pozwolenie wywiezienia nieco zapasów i bielizny z miasta, zastaję tam garść znajomych. Część powróciła ze wsi, niewielu zaś takich, co przetrwało całą tragedję kaliską, w porównaniu z którą chyba pogrom Magdeburga przez żołdactwo Tilly'ego podczas Wojny Trzydziestoletniej iść może.

Dowiaduje się nieco szczegółów tej okropnej historii miasta.

W sobotę 8 sierpnia przed wieczorem, opowiadają naoczni świadkowie, silne oddziały prusaków i sasów weszły do miasta. Za wojskiem ciągnęły setki podwód, spędzonych z okolicy. Żołnierze podzieleni na małe grupy rozeszli się po mieście całym, wszędzie wypędzając z domów mieszkańców. „Alle heraus“! „Alle weg“! były jedyne słowa, które słyszano. Wypędziwszy z domów mieszkańców, niemcy rozpoczęli rabunek mieszkań i sklepów. Rabowane rzeczy składano na podwozy i wywożono szosą Skalmierzycką. W razie najmniejszego oporu mordowano bez litości.—Wymordowano np. rodzinę kupca Kapłana z rodziców i dzieci złożoną.—Z mieszkań zabierano kosztowności, bieliznę, garderobę i pościel; same zaś mieszkania stosownie do humoru rabusiów—albo demolowano, jak np. stylowo umeblowane mieszkanie adwokata Kożuchowskiego, albo też, porozrzucawszy rzeczy, pozostawiano w spokoju.

Rabunek trwał prawie dwa dni w oczach osłupiałych z przerażenia mieszkańców, poczem zaczęto palić domy. Znowu usunąwszy ludność, żołnierze jeździli na wozach z beczkami nafty, oblewali schody, sienie i wogóle dostępne dla nich

wnętrza domów, poczem zapalali i jechali dalej... Gasić ogień zakazano pod karą śmierci... do próbujących cokolwiek wynieść z mieszkań zagrożonych, strzelano...

Wkrótce też Kalisz przedstawiał jedno jezioro ognia, gryzący dym wypełniał okolicę w kilkunastowiorstwowym promieniu. — Wiatr daleko unosił strzępy papierów i wszelakich rzeczy... Widok był tak straszliwy, że mieszkańcy okoliczni nie mogąc znieść jego grozy, uciekali w panice. Tak np.— opowiada mi p. Chrystowska—w ogromnej i bogatej kolonji Tłokińskiej nie pozostał ani jeden mieszkaniec... W chatach tej wsi jedynie obrazy świętych wystawione w oknach, świadczyły, że mają one właścicieli, i kilka dni trzeba było na uspokojenie się jakie takiej ludności... Pożar Kalisza trwał tydzień bez mała. Zaznaczyć należy, że Niemcy oszczędzali gmachy rządowe, z których poza pocztą, ani jeden nie spłonął, a jedynie Bank Państwa został poważniej uszkodzony. Za to mienie osób prywatnych i społeczne niszczone zaciekle: poza domem Tow. Pożyczkowo-Oszczędnościowego spłonęły: nowo wybudowany „Pałac Pracy“ kaliski—Dom Rzemieślników Chrześcijańskich, stacja telefonów miejskich, Dyrekcja szczegółowa T. K. Z., Klub wioślarski i w. in. Podpalano widocznie, lecz ogień zgasał w gmachu Tow. Muzycznego, kolebce życia korporacyjnego Kalisza...

Śmiało też można powiedzieć, że niemal wszyscy kupcy i przemysłowcy kaliscy są dziś mniej lub więcej bankrutami, bardzo często zupełnie, a przynajmniej połowa ludności straciła wszystko, co posiadała.

.....

Pożądane przez nas pozwolenie na wywóz rzeczy okazało się niedościgłym ideałem... Towarzysz nasz inż. M. zaczyna w pięknym djalekcie berlińskim i z miną, nad wyraz uprzejmą prosić

służbowego rycerza o pozwolenie widzenia się z komendantem.

„Weg! weg! weg!“ raptem krzyczy w odpowiedzi zagabnięty i równocześnie bagnet saski zmierza w kierunku żołądka uprzejmego p. M.

Oczywiście, p. M. nie kontynuował rozmowy, a ja wobec tak krańcowej treściwości dawnego sprzymierzeńca z pod Raszyna nawet jej nie zaczynałem.

Że zaś wywieźć potrzebne nam rzeczy postanowiliśmy koniecznie, radzi nie radzi, musieliśmy zaryzykować nielegalność.

Z minami lordów naładowaliśmy tobołkami bryczki i jedziemy przez kordony. Na pierwszej bryczce siedział przybyły z nami łaskawie sąsiad Kalisza p. Ch. mający stały glejt i bywający często w mieście. Jako znajomy ekwipaż, puszczały też kordony jego bryczkę, my zaś z dumą oświadczaliśmy zaczepiającej nas warcie, że jesteśmy z nim nierozłączni. Już, już dojeżdżaliśmy do ostatniej barykady na szosie, gdy nagle...

„Halt! Alle zurück“!

Robimy kwaśne zweifel miny...

Jakiś grzeczny sas objaśnia nas, że z przykrością wypuścić nas z miasta nie może, bowiem przejazd absolutnie dla wszystkich zamknięty. „Die Russen kommen“! rzuca tajemniczo.

Mimo należnej za taką troskę o naszą skórę wdzięczności — klniemy w duchu tego najuprzejmniejszego z Niemców okropnie... Ale trudno...

Zawracamy konie... Lecz, że w chwilach dziejowych człowiek orientuje się szybko, skręcamy za więzieniem na szosę Turecką... mijamy znów kilka kordonów, które jakoś nas nie zaczepiają... widzimy obozujących obok szosy sasów, wyprzedzamy jakiegoś zielonego kawalerzystę z piką, już, już domy rzadsze, wreszcie przez niedawno przez nas opuszczone, a dziś zdemolowane gruntownie letni-

sko nasze — Pólko, wydostajemy się na boczną drogę...

Uf! jesteśmy wreszcie za miastem i po przebyciu mili zakazanemi piaszczystymi drożynami stajemy nakoniec w gościnnym dworze Tłokińskim. Dajemy koniskom wypocząć, a sami zabieramy się z gustem do podwieczorku...

Nagle nowa przeszkoda, przychodzi wieść, że rozbici prusacy w odwrocie cofają się ku Kaliszowi... Jak się wie, to się wie... Zacni państwo Chr. ani słyszeć chcą o wypuszczeniu nas wobec tego od siebie, szczególnie przed zbliżającą się nocą. My jednak, rozzuchwaleni dotychczasowem powodzeniem nie chcemy ryzyka na dwa dni rozkładać... Wydostaliśmy się z Kalisza, co przecie było trudniejsze... Przemknijemy się po nocy właśnie między oddziałami, niemcy zresztą więcej chyba o sobie, niż o nas będą myśleli... Okolica znana, kraj własny... Myśl o niepokoju oczekujących nas rodzin... Leżące przed nami nieomal 5 mil drogi, z koniecznością możliwego kołowania dla omijania prusaków—wreszcie — rezolutna determinacja p. inżynierowej M. przeważają szalę wątpliwości...

Przeładowujemy tobołki i paczki na bryczkę i, nadrabiając humorem, siadamy... Ostatnie perswazje... i wreszcie — chyłkiem ruszamy, żegnani tysiącem życzeń...

Nad nami—wark motoru, tak od chwili wybuchu wojny znany w tych stronach, to eskortuje nas przez czas jakiś samolot. Przypuszczamy jednak, że o wiele więcej my na niego, niż on na nas, zwraca uwagi. Wkrótce też znika w stronie Błaszek.

Dojechaliśmy do domu zupełnie bez przygód.

Na zakończenie dodam, że trudno sobie wyobrazić, jak straszną nienawiść ku prusakom i wogóle — niemcom, wzniciły wypadki kaliskie

wśród ludu okolicznego. Słyszac rozmowy chłopskie i obserwując ich zachowanie, widziało się, jak przyrodzona każdemu słowianinowi odwieczna niechęć rasowa pod wpływem dokonanego zwierzęcego, bezmyślnego okrucieństwa, przeradzała się w żywiołową nienawiść.

„Żeby tak nas powołano — od małego — do starego szlibyśmy dźgać tych złodziei i rozbójników“ — to był głos powszechny.

Jakoż i „dźgał“ chłop, gdzie się tylko dało.

Gdy w okolicy spadł samolot i lotnicy pruscy, spaliwszy go, ukryli się... kilka wsi samorzutnie urządziło obławę...

Biada było pojedynczym niemcom, przemyskającym się ku swoim... Trudno też było wyobrazić sobie strach podjazdów niemieckich, zapuszczających się dalej... Oto np. obrazek.

Pod cmentarzem jednej z wiosek nocował podjazd kilku ułanów; mimo bliskości wsi, żadnemu z nich nie przyszła myśl zażądania noclegu... Przez całą noc nie zmrużyli oka. Tymczasem we dworze — parobcy formalnie oblegali dziedzica.

— „Niech jaśnie Pan pozwoli zadźgać tych zbójów — błagają — konie to my już jaśnie panu do fornalki oddamy, a co przy nich weźmiemy — ta i zakopiemy — a przecie pomsta im się należy“...

Nienawiścią tą można też i tłumaczyć klęski podjazdowe niemców zaszłe w końcu sierpnia i początkach września w Kaliskiem. Ani o przewodniku, ani o informacjach niemcy nie mogli nawet marzyć, podczas gdy, rosjanie mieli to na każde zawołanie...

I nie mogły tej nienawiści żywiołowej osłabić zastępy landwery poznańskiej, maszerujące z korpusem saskim w głąb Królestwa za Wartę... Bodaj też, czy chłop nasz zastanowił się choć chwilę, gdy patrzył osłupiałymi ze zdumienia oczami na kościół w Kalinowej, wypełniony „prusakami“, co zatrzymawszy się w pochodzie przeciw

„naszym“—poszli na nieszpory i wespół z rzetelnymi parafjanami z Kobylnik, Góry, Habierowa, a i z Kalinowej samej śpiewali: „Święty Boże... Święty mocny... Święty a nieśmiertelny... zmiłuj się nad nami“...

Do dziejowych porachunków polsko-pruskich przybyła nowa straszna i trudna do wyrównania pozycja!...

1011



1011



1011



3691

CBW
dubl. do sy... 115738

do biblioteki M. H. E. z wyłączeniem
na temat me nadzieje

16 III-912

[Signature]

BIBLIOTEKA
TECH. SZK. LOTN.

Nr.

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

22952/1



11-022952-000-0